

WISŁAWA SZYMBORSKA

**NOWE LEKTURY
NADOBOWIĄZKOWE**

1997-2002

Wydawnictwo nalegało, żebym w tym kolejnym tomiku *Lektur nadobowiązkowych* napisała kilka zdań „od Autorki – do Czytelników”. Ale od autorki jest tu przecież każdy felieton, łącznie z przecinkami i kropkami. I do kogo zwrócony, jak nie do Czytelników? Czyli do Was, moi cierpliwi i nie zanadto grymaśni

Marysiu, Tadeuszu, Bonifacy, Piotrze,
Weroniko, Agnieszko, Basiu, Krysiu, Jolu,
Łukasz, Staszku, Bronku, Olgierdzie, Dawidzie, Zbigniewie,
Małgorzato, Sydonio, Ludmiło,
Ewo, Józiu, Jacenty, Konstanty, Patrycy

i Ty, droga mi bardzo Reszto Kalendarza.

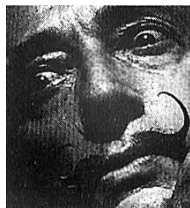
W.S

SZALONE KALAFIORY

Salvador Dali

DZIENNIK GENIUSZA

przekład z francuskiego Jana Kortasa, Wydawnictwo L & L, Gdańsk 1996



Nie tylko sztuka – również i życie codzienne nadrealistów miało być nadrealistyczne. Nawet zwykłe wejście do sklepiku po puszkę sardynek nie mogło przebiegać zwyczajnie, należało przynajmniej wejść na rękach. Póki nadrealiści byli młodzi, brewerie miały charakter spontaniczny, wynikający z nadmiaru humoru i życiowej energii. Później, z początkiem lat trzydziestych, ich życie zaczęło się ściemniać – do ruchu wdarła się polityka, konieczność ideologicznych wyborów, dochodziło do sporów, rozłamów, a wraz z tym wszystkim powoli gasła skłonność do bulwersujących happeningów. Niektórzy zresztą pozakładali rodziny, szukali jakiejś stabilizacji. Tatuś nadrealista, przeglądając zeszytik swojej pociechy, zmuszony był (co prawda z bólem w sercu) mówić: „Widzisz, moje dziecko, dopóki chodzisz do szkoły, powinieneś twierdzić jak inni, że dwa plus dwa równa się cztery. Dopiero jak dorośniesz, zrobisz z tym, co chcesz...” Jeden jedyny Salvador Dali żył w dalszym ciągu i bez przerwy nadrealistycznie. Aż do starości unosił się jak karnawałowy balonik nad szarą skłopotaną ziemią. Od polityki stronił, wojnę przeżył raczej bezproblemowo i nie został tatusiem. Jego obrazy sprzedawały się świetnie, toteż zawsze gotów był wspierać młodych artystów dobrą radą: „Malarze! Bądźcie raczej bogaci niż biedni!” Dziennikarze go uwielbiali, bo niezawodnie mogli liczyć na sensacyjną fotografię, wywiad, wydarzenie. Wychodził do ludzi obłany jakimś lepkiem płynem, do którego zlatywały się muchy z całej okolicy. Nurzał przeróżne żaby i kraby w tuszu i ciskał je na białe płótno. Na znak, że udaje się do toalety, zatykał za ucho gałązkę jaśminu. Na wykład w Sorbonie zajechał białym rolls-royce'm wypełnionym kalafiorami. A pewnego razu wypuścił na miasto paru ludzi, którzy z powagą karawaniarzy obnosili po ulicach Paryża kilkunastometrową bagietkę. Przechabawnych pomysłów miał mnóstwo, ale nie zmieniał do nich komentarza: jestem geniuszem, przeto cokolwiek tworzę i wyczyniam

jest bezdyskusyjnie genialne. Można powiedzieć, że sam sobie przy każdej okazji bił rżęsiste brawa. Za lepszych od siebie malarzy, ale tylko troszkę, uznawał Rafaela i Vermeera. Z żywych jako tako poważał Picassa. Spośród kolegów nadrealistów już nikogo. A byli tam przecież twórcy nie mniej znakomici, autorzy dzieł zadziwiających. Chirico, Ernst, Magritte... Obrazy Dalego, zwłaszcza te najgłośniejsze, wydają mi się przeładowane, oglądam je po kawałku rozbieranym okiem. No, nie wiem, ja wolę Magritte'a. Jest surowszy, oszczędniejszy w pomysłach i dzięki temu silniej do skupienia zmuszający. Dali przypomina mi naiwnych poetów, którzy wierzą, że im więcej napakują do wiersza metafor, tym wiersz będzie lepszy... *Dziennik geniusza* został wydany bez przesadnego pietyzmu dla mistrza. Książka od razu rozleciała mi się w rękach. Takiej niespodzianki nawet sam Dali nie wymyślił.

BRODA

John E. Morby

DYNASTIE ŚWIATA

opracowanie Józefa Kozaka, przekład z angielskiego

Michała Rusinka, Wydawnictwo Znak, Kraków 1996



Nie jest to książka, w której można się zaczytać od wieczora do białego rana. Mamy tu tylko suche spisy osobowe dynastii dawnych, mniej dawnych i obecnych. Przy każdym władcy zaznaczono powiązania rodzinne, rok wstąpienia na tron i ewentualnie śmierci oraz, tu i ówdzie, datę abdykacji czy usunięcia od władzy. Im starożytniejsze czasy, tym mniej nawet tak skromnych danych. Egipt na przykład prezentuje się wręcz sielankowo, bo nawet abdykacji i usunięć nie odnotowywano. Może ich zresztą nie było – skorpiony wsuwane do pościeli załatwiałyby co trzeba zawczasu... Ale tu już wkraczam w dziedzinę, która w tej książce nie jest obecna. Po informacje, jak dochodziło do objęcia władzy, a jak do jej utracenia, należy już sięgnąć do innych opracowań. Toteż dzieło Morby'ego z całym szacunkiem odkładam na półkę, a wyjmuję z niej historię Rzymu. Wiadomo, że cesarzy zabijano tam często. Po zgonie Augusta, który chyba raczej umarł na choroby własne, następnym siedmiu władców zginęło śmiercią gwałtowną. Potem zabijanie trochę się przeczadziło, ale nie ustało nigdy. Najgorsze perspektywy mieli cesarze obwoływani przez legiony na rubieżach imperium. Do Rzymu droga była długa, a na niej rywali wielu. Nie brakowało ich też w samym Rzymie. Dwa, trzy lata życia – oto wszystko, czego mógł taki cesarz oczekiwać. No i mam pytanie, które od dawna we mnie siedzi. Dlaczego nigdy nikt, kto został obwołany przez pijane legiony cesarzem jeszcze tej samej nocy albo przy najbliższej sposobności nie wymknął się z namiotu w przebraniu obozowego ciury i nie przepadł w jakimś ciemnym lesie? Złoty laur, który nałożono mu na głowę, równał się przecież wyrokowi rychłej śmierci. Do domu i rodziny wrócić nie mógł. Mądrzej było ryzykować ucieczkę, znosić głód, chłód, poniewierkę – byle jak najdalej od swoich wyborców... Kto zresztą poza kręgiem kilku mil rozpoznałby twarz uciekiniera? Gazet, fotografii, listów gończych przecież

nie było. Tymczasem kronikarze o żadnym fakcie ucieczki nie wspominają. Ponieważ jestem wielbicielką wyjątków, wolę wierzyć, że jednak coś takiego kiedyś zdarzyć się musiało, i tylko z zażenowania dziejopisi przemilczeli ów epizod. Spróbujmy wyobrazić sobie tego miłującego życie człowieka. Może został wędrownym kupcem sprzedającym cudowne maści na lumbago, może drwalem, smolarzem, portowym tragarzem, może sługą świątynnym szorującym zabłocone schody... Ja lubię o nim myśleć jako o rybaku. Właśnie przybił do brzegu i wyciąga sieć, w której trzepocą się ryby. Najładniejsze okazy sprzeda w kuchni jakiegoś prowincjonalnego dygnitarza. W kuchniach zawsze huczy od plotek z dalekiej stolicy. Podobno zamordowano tam kolejnego cesarza, ale już następny zbliża się z wojskiem do murów Rzymu. Mój rybak z trudem skrywa uśmiezek, gładząc piękną, bielejącą już gdzieniedzie brodę. Jako broda cesarza małe miałyby szanse posiwieć.

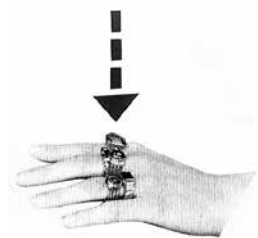
SZKODA, BO ŁADNE

Laura Lorenzo

KAMIENIE SZLACHETNE – ZDOBIĄ I LECZĄ

przekład z włoskiego Dariusza Łyżnika, Oficyna

Wydawnicza „Spar”, Warszawa 1997



Dobrze się składa, że wiara w leczniczą moc kamieni ozdobnych nie jest wiarą powszechną i nigdy chyba taką się nie stanie. W przeciwnym razie, w zależności od tego, co na kim zwisa i co do kogo jest przypięte, wiadomo by było natychmiast, co komu dolega. Kto cierpi na zaburzenia żołądkowo-jelitowe, kto ma kłopoty z pęcherzem i kogo nękają koszmary nocne. To tak, jakby każdy obnosił się publicznie z diagnozą od internisty czy psychiatry. Wiele zamiarów matrymonialnych nie dochodziłoby do skutku z powodu niewinnej broszki wskazującej na chorobliwą zazdrość albo skłonność do ataków histerycznych. Politycy kandydujący w wyborach znaleźliby się w dużo gorszym niż do tej pory położeniu. Przenikliwe oko prasy wypatryłoby w spinkach do mankietów kandydata każdy kamyczek, a co za tym idzie, rozpoznałoby każdą przypadłość, z którą nieszczęśnik usiłuje walczyć. Bo jeśli agat – to natrętnie urojenia, jeśli ametyst – opilstwo, jeśli cytryn – myśli samobójcze. Musiałoby wreszcie dojść do tego, że nikt by już żadnych kamieni ozdobnych nie nosił – a szkoda, bo ładne. Książeczka należy do lawiny tych pseudoekologicznych poradników, co propagują „naturalne” sposoby na życie zdrowe i długie, przy czym z reguły stawiają nam jako przykład naszych praprzodków, którzy, żyjąc zgodnie z naturą, żyli właśnie zdrowo i długo. O tym, że jeszcze do niedawna przeciętna długość ludzkiego życia nie przekraczała lat trzydziestu, książeczki te oczywiście nie mówią. Nie powiedzą też, że wiedza o leczniczych właściwościach niektórych ziół i minerałów wchodzi w skład dzisiejszej farmakologii (przemysłowej, więc ohydnej, rzecz jasna) i że stale jest doskonała i poszerzana. Mit „powrotu do natury” nie ma nic wspólnego z prawdziwą ekologią. Wie ona dobrze, że odwracanie się plecami do cywilizacji jest absurdem. Możliwe jest natomiast i konieczne eliminowanie niszczycielskich skutków ubocznych

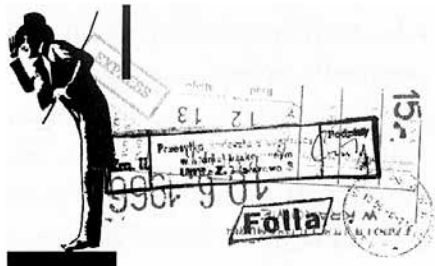
teżę cywilizacji. Może strzelam tu z armaty do komara. Książeczka jest głupawa, ale pocziwa, i jeżeli rady w niej zawarte zdołają komuś chwilowo poprawić samopoczucie, to proszę bardzo. Trafiłam w niej nawet na pewną informację, która, jak mi się zdaje, opiera się na wcale solidnych empirycznych podstawach. Otóż diament może działać jako afrodyzjak. Zwłaszcza (dodajmy) oszlifowany, osadzony w platynowym pierścionku i wręczony osobie, która, jak dotąd, nie zwracała uwagi na ofiarodawcę.

KOMEDIANT

Maciej M. Szczawiński

ZEZOWATE SZCZĘŚCIE

Towarzystwo Zachęty Kultury, Katowice 1996



Lubię słowo „komediant”. Dla mnie brzmi dumnie, pod warunkiem że określa aktorską profesję. Świat roi się oczywiście od amatorów, którzy bezwiednie uprawiają komedianstwo w innych branżach. Zwłaszcza w polityce widać ich najwięcej. Ale nie o nich tu mówię. Bogumił Kobiela był komediantem profesjonalnym i jako taki zasługuje na szacunek. Nie wiem, czy ukazała się gdzieś monografia poświęcona jego aktorskim pracom. Pewnie tak, tylko nie wpadła mi w ręce. Książeczka Macieja M. Szczawińskiego to jakby aneks do niej. Składa się ze wspomnień rodziny i przyjaciół, a także zawiera nie publikowane dotychczas listy samego aktora. Nie jest to wcale lektura wesoła. Tylko bardzo naiwni wyobrażają sobie, że życie prywatne artysty komediowego jest nieprzerwanym pasmem szalenie ucieśnych gagów. Życie aktora, niezależnie od rodzaju, który uprawia, od stopnia sukcesów, a nawet od ustroju, w jakim przyszło mu działać, niewolne jest od lęków, urazów, udręk i zapaści. Ale przynajmniej gdzieśgdzie jego bytowanie na co dzień bywało łatwiejsze. Kobiela był obywatelem PRL-u, a to oznaczało, że ciągle musiał za czymś po urzędach biegać, gdzieś kołatać, czegoś się usilnie dopraszać i komuś przypominać, że żyje i ma pewne potrzeby. Zarabiane pieniądze nie znaczyły nic, jeśli brakowało pieczętki, zezwolenia, zatwierdzenia, skierowania, meldunku, paszportu, przydziału i dojścia. Aktor pisał dziesiątki podań, w których uprzejmie tłumaczył, że, niestety, jakieś M3 w warszawskim bloku jest mu bardzo potrzebne, że, niestety, również telefon, bo ciągle, niestety, ma coś do omówienia oraz, niestety, także samochód, bo, niestety, często jeździ po kraju i wszędzie, niestety, musi zdążyć. Nie ma takiej maszyny liczącej, która by porachowała, ile czasu i energii na to szło. I jak bardzo musiała na tym cierpieć zdolność do koncentracji, niezbędna w jego zawodzie. Psychicznie zziąjany, skarżył się raz po raz w listach do rodziny. Oto próbka: „Czasem, jak jestem przez chwilę sam, to

przychodzi człowiekowi do głowy, że właściwie o nic w życiu nie warto walczyć, do niczego dążyć, bo osiągnięcie czegokolwiek okupione tu jest takim wysiłkiem, że żyć się odechciewa. I nie wiem, czy nie mądrzej zaszyć się gdzieś w Tęczynku, żyć jak pies, ale w spokoju..." Tak pisał ulubieniec publiczności, gwiazda obsypywana zewsząd propozycjami, szczęściarz, który bardzo szybko wskoczył do czołówki aktorstwa polskiego, gdzie pozostał aż do nagłej, przypadkowej śmierci... Był obdarzony talentem rzadkim bardzo. Jego siła komiczna podszyta była tragizmem, czyli reprezentował to, co w teatrze może się zdarzyć najlepszemu. Prędko na tej dwoistości poznali się Munk i Wajda. Inni eksploatowali go raczej jako pajaca, który swoją obecnością uratuje nawet najgorsze chały. Byłam wielbicielek Kobieli. Toteż, przejeżdżając niedawno przez Tęczynek, gdzie aktor miał swój dom rodzinny, odszukałam jego grób. O ulicę im. Bogumiła Kobieli nikogo nie pytałam, bo wiem, że jej nie ma. Był ponoć taki projekt, ale upadł. Gdyby Kobiela był jakimś miernym Hamletem, to owszem, czemu nie. Ale niezrównanym Piszczkiem? Wolne żarty.

CI INNI

Alina Witkowska

CZEŚĆ I SKANDALE – O EMIGRACYJNYM

DOŚWIADCZENIU POLAKÓW

słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1997



Gdyby historii przypisać cechy osobowe, można by było powiedzieć, że optymistów to ona bardzo nie lubi. Za pochopne nadzieje z upodobaniem wymierza im kopniaki. Uchodźcy, którzy po klęsce powstania 1831 r. znaleźli azyl za granicą, głównie we Francji, zostali „ukarani” srogo i złośliwie. Wierzyli święcie, że wojna przeciw tyranom wisi w powietrzu, a ich rolą jest tylko doczekać tej szczęśliwej chwili w bojowym pogotowiu. Nie doczekali jej nigdy. Przyjęci zostali przez francuskich demokratów z łezką w oku, która szybko obeschła. Teoretycznie mogli swobodnie decydować o swoim losie – w praktyce to los decydował za nich. Byli to przeważnie ludzie młodzi, bez zawodu, bez znajomości języków, bez zagranicznych koneksji, bez oparcia w krajowej rodzinie i bez pomysłu na dalsze życie, którego przecież samym czekaniem, a później pretensjami do całego świata, wypełnić się nie dało. Wypłacane im zasiłki były tylko coraz skąpiej rzucaną jałmużną. Nadzieja gasła, a wraz z nią zdzierały się ostatnie buty... Zdawałoby się, że o Wielkiej Emigracji napisano już wszystko, co było do napisania. Książka Aliny Witkowskiej świadczy, że wcale tak nie jest. Dużo podanych tu faktów i opinii pochodzi z nigdy jeszcze nie wydanych rękopisów. To nie znaczy, że o ich istnieniu nie wiadomo wcześniej. Owszem, wiadomo i wertowano, ale szukano w nich przede wszystkim tego, co dotyczy politycznych i intelektualnych elit emigracji. A więc śledzono dzieje stowarzyszeń, idei, które je powoływały do istnienia, oraz udziału w nich osobistości najwybitniejszych. Ale ci inni? Z dala od promieniowania tych ośrodków? Co z nimi? Nie każdy obdarzony był wielkim talentem. Nie każdy charakterem aż tak silnym, żeby wykluczał popadnięcie w jakiś konflikt z normami honoru i prawa. Próba emigracyjnej codzienności była bezlitosna dla tych rozproszonych, zdezorientowanych i zropaczonych... Ich życiorysy są trudne

do odtworzenia w całości. Ich nazwiska pojawiają się w pamiętnikach i listach na chwilę, w jakiejś pojedynczej anegdotce, może i nie zawsze sprawiedliwej. Podobni do tonących, którzy wykonują nad powierzchnią kilka chaotycznych ruchów, po czym znikają, a tafla wody cicho się nad nimi wygładza. Książka Witkowskiej składa się z takich właśnie momentów. Chciałoby się powiedzieć, że zatrzymuje je w kadrze. Jest to książka smutna. Jasną stroną stanowi w niej to, że została jednak napisana.

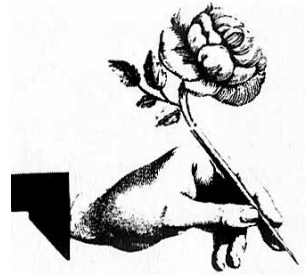
ŁZY FLAUBERTA

Joseph Barry

GEORGE SAND

przekład z angielskiego Ireny Szymańskiej, Państwowy

Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996



George Sand była w swoich czasach pisarką głośną, powszechnie czytana i ceniona przez najwyższe autorytety literackie. Dzisiaj poczytność jej powieści zawężyła się bardzo. Chyba nawet p. Barry nie przeczytał wszystkiego, co napisała. W nagrodę jednak – jeśli to jakaś nagroda – zainteresowanie jej burzliwym życiem nie maleje. Feminizm jest teraz na czasie, a Sand była przecież jedną z pierwszych, świadomych swoich celów, feministek. Wymagało to wówczas dużej odwagi i determinacji. Już jako młodzianka dziewczyna odkryła w osłupieniu, że ze swoim (skądinąd nawet pocziwym) mężem nie ma o czym rozmawiać i że to się już nigdy nie zmieni. Niezliczone tysiące kobiet dokonywały przed nią podobnego odkrycia, ale George była osobą zbyt inteligentną, ciekawą świata, utalentowaną i pełną temperamentu, żeby trwać dożywotnio w nudzie i obłudzie. Jednakże, choć zdołała się wyzwolić z wielu przymusów i konwenansów, pozostała niewolnicą stylu swojej epoki, Romantyzmem zwanej. Przepraszam za to, co powiem, ale na co dzień, zwłaszcza w sferze uczuć, był to styl nieznośny.

Monografista cytuje obficie fragmenty jej listów miłosnych. Na ich podstawie próbowałam odgadnąć, które z jej związków były najważniejsze, które trochę mniej lub wcale. Nie udało mi się, niestety. Adresaci byli wprawdzie rozmaici, ale ton listów do nich jednaki: bezustanne *fortissimo*, olśnienia, rozpacz, uniesienia, zakłęcia... Romantyczna retoryka tych wyznań zamazywała wszystkie, tak istotne przecież, niuanse. Panowie odpowiadali z identyczną egzaltacją. Może z wyjątkiem Chopina, który był człowiekiem skrytym i ostentacji nie znośił. Istniał pakiet jego listów, ale George po latach wrzuciła je do ognia – może właśnie dlatego, że były jakieś inne? Wróćmy jednak do reszty towarzystwa. No cóż, cnota dyskrekcji nie była tam zbyt gorliwie praktykowana. Otrzymywane listy pokazywało się na lewo i prawo, dawało

komu bądź do przepisania. Robiła tak George w swoim salonie, robili tak jej przyjaciele w swoich kawiarniach. Odnoszę wrażenie, że niektóre listy pisane były tylko po to, żeby ktoś trzeci podał je komuś czwartemu do wiadomości. I myślę sobie, co by się stało z tą czy ową parą, gdyby się raptem znalazła na wyspie bezludnej. Jak tu się kochać „wiecznie i namiętnie” bez słuchaczy, czytelników, widzów? Byłabym jednak niesprawiedliwa, gdybym w tym miejscu postawiła kropkę. Wszystko, co nie dotyczy romansowych zwierzeń, jest w tej korespondencji dużo ciekawsze. A już prawdziwym skarbem jest koleżeńska wymiana listów z Flaubertem. Z pozoru nic ich łączyć nie powinno – była między nimi znaczna różnica wieku, mieli odmienne poglądy polityczne, inne usposobienia, a przede wszystkim inne podejście do pisarskiego warsztatu. Spod ręki Sand wylewały się potoki słów i płynęły sobie swobodnie. Flaubert pracował jak kamieniarz w twardej skale i całymi dniami obciosywał jedno zdanie. I okazało się, że dwoje tak różnych pisarzy ma sobie wiele do powiedzenia i że czują się sobie potrzebni. Kiedy Sand zmarła, Flaubert płakał na jej pogrzebie. Nie należał już do pokolenia romantyków, wierzę więc chętnie, że nie były to łzy na pokaz...

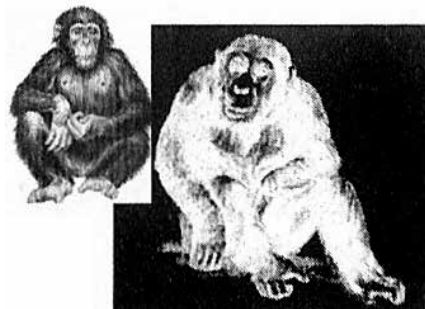
DUSZYCZKI

Jane Goodall

PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

przekład z angielskiego Jerzego Prószyńskiego,

Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1997



Znakomita Jane Goodall poświęciła szympansom trzydzieści lat życia. Do obserwacji wybrała jedno z trzech stad żyjących nad brzegami Tanganiki. Dokooptowała sobie współpracowników, co było konieczne, bo szympansy są koczownikami i rozlażą się na wszystkie strony, a jej chodziło o to, żeby śledzić możliwie dokładnie poczynania każdej małpy z osobna. Jej pierwsze sprawozdania wzbudziły w kołach naukowych konsternację. Ówczesna etologia stawiała na „typowość” w zachowaniu zwierząt, a wszelkie przejawy psychiki indywidualnej odpychała jako nieistotne. Mówienie o „umyśle” zwierzęcia, o „uczuciach”, o „osobowości” uważane było za naiwną i niedopuszczalną antropomorfizację. Z badań młodej uczoney wynikało jednak, że każdy członek szympansiego stada jest na swój sposób nietypowy – a to poważnie wpływa na jego dalsze losy. Nie jest maszyną, która na określone impulsy reaguje zawsze tak samo. Trzeba dodać, że w tym samym czasie inni uczeni, w innych krajach i innymi metodami, dochodzili do podobnych wniosków. Tabu zostało przełamane i obecnie wolno już rozprawiać o cechach indywidualnych zwierząt – zwłaszcza zwierząt wysoko rozwiniętych. J. G. poważyła się na odtworzenie życiorysów poszczególnych członków stada. Każdy życiorys, jak się okazuje, jest inny. Mamy tu portreciki ambicjonalistów, melancholików, złośników, lekkoduchów, zazdrośników, społeczników, a nawet osobników lepiej lub gorzej przez matki wychowanych... Są tu jednostki bezwzględne w postępowaniu, są inne, zdolne do gestów bezinteresownego altruizmu, a czasem i długotrwałej przyjaźni. Oczywiście, życie szympansów nie jest sielanką. Istnieją zagrożenia zewnętrzne, wobec których stado postępuje solidarnie, oraz wewnętrzne, spowodowane wybuchami wzajemnej wrogości, czasem niezrozumiałej dla obserwatora. Ale czy my, ludzie, postępujemy zawsze w sposób zrozumiały dla

innych, a nawet i dla samych siebie? Różnica między materiałem genetycznym (DNA) człowieka i szympansa wynosi trochę powyżej jednego procenta. To bardzo mało i o tym trzeba pamiętać. Ale i ogromnie dużo, skoro na fundamencie tych samych uczuć tylko my stworzyliśmy kulturę. Ten dziwny procent jeszcze długo będzie przedmiotem niepokoju. Ale przypomina mi się zabawna (zasłyszana? przeczytana?) anegdotka. Na przyjęciu podchodzi do znajomego biskupa pewna hrabina i tuląc czule ukochanego pieska, pyta: „Proszę mi powiedzieć, księżę biskupie, czy zwierzęta naprawdę nie mają duszy?” Biskup aż poczerwieniał z zakłopotania. Odpowiedzieć „nie mają” – to zrazić sobie hrabinę, która była dobrą parafianką i zawsze hojnie łożyła na potrzeby kościoła. Odpowiedzieć „mają” – to wygłosić herezję. Po chwili znalazł wyjście polubowne: „Mają, pani hrabino, mają, tylko taką troszkę mniejszą”... Nie wiem, jak komu – mnie ta odpowiedź trafia do przekonania.

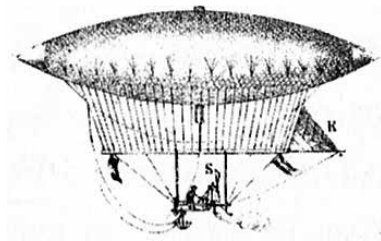
FUTUROLOGIA Z WNIOSKIEM

Adrian Berry

NASTĘPNE 500 LAT

przekład z angielskiego Grażyny

Gasparskiej, Amber, Warszawa 1997



Pocztówka, którą mam w ręce, wydana w 1900 roku, ma napis: „Tarnów w r. 2000”. Identyczne pocztówki ze zmienioną tylko miejscowością kursowały pewnie po całej Galicji. Sięgając wzrokiem w przyszłość, domorosły futurolog wypełnił niebo zeppelinami i balonami. Z kosza jednego balonu wychyla się osobnik w meloniku i sypie kwiaty w kierunku swojej damy. Dama stoi na ceglany grzbiecie tunelu, z którego jeden za drugim wyjeżdżają dymiące parowozy. Kobiątka, nie powiem, szykowna i tak cienka w pasie, że pod jej długą suknią, suto z tyłu udrapowaną, należy się domyślać gorsetu. Opodał, w krzakach, czeka na nią samochodzik nakręcany właśnie na korbkę przez szofera w długim prochowcu. Jak widać, autor pocztówki miał wyobraźnię skromną – skleił swoją wizję przyszłości z elementów dobrze sobie znanych, tyle że zagęścił je na małej przestrzeni. Rzecz jasna, nie ma żadnego porównania między tym obrazkiem naiwnym a książką uczoną p. Berry, który, przewidując przyszłość, opiera się na przesłankach naukowych, a ponadto dobrze wie, że domysły są tylko domysłami. Pocztówkę jednak zatrzymam na widoku, bo będzie mi potrzebna do końcowego wniosku. Dużą część książki zajmuje polemika z czarnowidzami. Otóż Słońce nie zamieni się znieścacka w supernową i nie unicestwi życia na naszej planecie. Dziury ozonowe i efekty cieplarniane uważa autor za panikarstwo nie dowiedzione argumentami serio. Jest zdania, że desant istot pozaziemskich nam nie grozi. Przyrost ludności ulegnie zahamowaniu i trochę przestrzeni dla każdego będzie. Zasobów naturalnych nie zabraknie, bo nauczymy się je czerpać z dna morskiego, z Księżyca, Marsa i asteroidów. Już mniej jest pewne, czy któryś z meteorów nie pacnie na Ziemię i nie załatwi nas tak, jak kiedyś załatwił dinozaury. Ale 500 lat to w rozwoju techniki niewyobrażalnie dużo i należy przyjąć, że będziemy umieli zawczasu korygować lot

takich przybłądów. Ponadto powinniśmy mieć już wykaz innych planet nadających się do zasiedlania w pobliskich gwiazdnych systemach. Najgorsze, co się może zdarzyć, to kolejna epoka lodowcowa. Nie znamy dnia ani godziny, kiedy znów się zacznie. Im wcześniej, tym gorzej, bo nie mamy nawet cienia pomysłu, jak temu przeciwdziałać. Tutaj autor zostawia nas bez pociechy i prędko przechodzi do innych tematów. Zapewnia, że w ciągu tych 500 lat psychika ludzka się nie zmieni i na przykład namiętności miotające bohaterami Szekspira będą nadal zrozumiałe. Domyślam się, że widownia będzie już mieszana, złożona nie tylko z ludzi, ale i żadnych wrażeń robotów. Jeżeli zaczną wybuchać śmiechem albo szurać nogami w miejscach nieodpowiednich, trudno. Młodzież ma swoje prawa... Pora na obiecany wniosek, wynikający wspólnie z pocztówki i z książki: jak będą żyli ludzie w dalekiej przyszłości, przekonają się ludzie w dalekiej przeszłości. I nikt wcześniej, jak mniemam.

CESARZ W NIE UŻYWANEJ ZBROI

Jacqueline Dauxois

CESARZ ALCHEMIKÓW – RUDOLF II HABSBURG

przekład z francuskiego Renaty Niziołek, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997



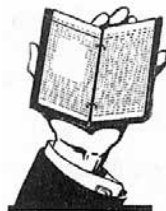
Maksymilian II Habsburg, monarcha skądinąd roztropny, umarł w przeświadczeniu, że dla swojego następcy zrobił wszystko, co troskliwy ojciec zrobić powinien. Ukoronował go na króla Węgier, potem Czech, wreszcie przed samą śmiercią zdążył mu zapewnić tytuł Cesarza Rzymskiego. Cóż więcej mógł zrobić? Mógł – ale to będzie odpowiedź dzisiejsza. Mógł czasem porozmawiać z synem, przyjrzeć mu się z bliska i wy badać, czy do sprawowania władzy się nadaje. Ale takie rzeczy w rodzinach monarszych nie wchodziły w grę. Ojcowie zresztą nie mieli częstych okazji, żeby swoich potomków bliżej poznać. Chłopcy przechodzili z rąk nianiek do rąk guwernerów, a potem wysyłano ich na zaprzyjaźnione dwory, gdzie dorastali w obcym środowisku. Rudolf dorastał na ponurym dworze hiszpańskim. Kiedy wrócił, był już wyraźnym neurotykiem. Sprawy państwowe nie interesowały go wcale. Jako cesarz zdobył się energicznie na jedną tylko decyzję: przeniósł się z Wiednia do Pragi. Przeniósł, a właściwie uciekł od uprzykrzonej administracji i sporów między katolikami a protestantami, z czym jego ojciec jakoś sobie jeszcze mądrze radził. W Pradze cesarz Rudolf mógł żyć wedle upodobań własnych. Poświęcił się magii i alchemii, a doradców z urzędu zastąpił astrologami. Zamiast myśleć, i to pilnie, o wojnie z Turkami, którzy coraz zuchwalej szarpali wschodnie granice, całymi latami skupował piękną broń i pozował do portretów w coraz to kunsztowniejszych zbrojach. Był, przyznać trzeba, zapamiętałym kolekcjonerem dzieł sztuki, ale gromadził je bez ładu i składu i ukrywał tak, żeby ludzkie oko ich nie widziało. Postępowanie cesarza tylko Pradze wyszło na korzyść. Ożywił się handel, rozkwitło rzemiosło, a zajazdy zaroily się od różnych czarnoksiężników i szarlatanów oferujących cesarzowi eliksiry nieśmiertelności oraz dwugłowe cieleta w spirytusie. Praga zyskała miano miasta magicznego – z czasem powstały o niej niesamowite legendy i powieści. Autorka monografii także

tym nastrojom uległa. Chwilami nadmiernie ponosi ją wyobraźnia. O Rudolfie pisze tak, jakby była w posiadaniu jakiegoś poufnego jego dziennika – wie na pewno, co w każdym momencie myślał i odczuwał. Niestety, taki dziennik nie istnieje, a takich „domyślnych” monografii już się nie pisze. Na wszystko trzeba mieć dziś co najmniej prawdopodobny dowód. Myślę, że każdy historyk przy tej lekturze od czasu do czasu zazgrzyta zębami... Po śmierci Rudolfa jego zbiory rozgrabiono, powywożono. Po prawdzie nie wiadomo, co tam było. Były na pewno obrazy Arcimboldiego, m.in. *Cztery pory roku*, które autorka w chwilowym zaćmieniu nazywa „zniewagą dla Vivaldiego”, chociaż znieważony urodził się dopiero kilkadziesiąt lat później. Jest pewna także, że w zbiorach znajdowała się *Dama z łasiczką*, co jednak budzi wątpliwości. Powołuję się tu na opinię mojej przyjaciółki, dr Krystyny Moczulskiej, która o portrecie prześlicznej Włoszki wie wszystko, co wiedzieć można.

CMENTARZYSKO

WYPRACOWANIA – WZORY

opracowanie Doroty Stopki, Greg (w Krakowie niestety), 1997

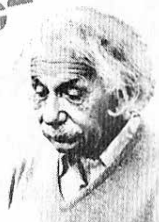


W szkole czyta się literaturę piękną pod przymusem, a przymus, jak wiadomo, wyklucza przyjemność. Zdarzają się wprawdzie poloniści-cudotwórcy (sama mam zaszczyt znać takich), dzięki którym lektury szkolne nie przestają być piękne. Ale ile mamy szkół, ilu uczniów, a ilu na to wszystko cudotwórców? Mają oni zresztą kłopoty z przerobieniem całego programu, nie nadążają, ponieważ prowadzą lekcje w postaci swobodnych rozmów o wrażeniach z przeczytanej właśnie książki, a to trwa. Wobec tego większość polonistów woli ograniczać się do nieśmiertelnej kwestii „co autor chciał przez to powiedzieć”. „Przez to”, czyli przez te wszystkie opisy, dialogi, fabularne komplikacje, różnorodne dygresje i te, Boże uchojaj, stylistyczne sztuczki. No i natychmiast okazuje się, że to, co autor chciał powiedzieć, daje się streścić w kilku albo kilkunastu zdaniach. A skoro tak, to wychodzi w oczach uczniów na świra obciążonego patologicznym gadulstwem – w przeciwieństwie do ludzi normalnych, którzy to samo umieją ująć dużo krócej. Mam przed sobą książkę zatytułowaną eufemistycznie *Wypracowania – Wzory*; w rzeczywistości to zwykła ściągą z literatury ostatnich dziesięcioleci przeznaczona dla uczniów klas wyższych. Ciekawa o tyle, że jest wiernym odbiciem szkolnych wymagań. Oraz nie-wymagań. Ze „wzorów” bowiem widać wyraźnie, że uwrażliwienie ucznia na artystyczną stronę dzieła obowiązkowe nie jest, choć przecież (przepraszam za truizm) ta właśnie strona decyduje, czy coś do literatury pięknej wchodzi, czy nie wchodzi. Nigdy nie zapomnę opublikowanej kiedyś ankiety na temat *Dżumy* Camusa. Zwłaszcza jednej lakonicznej odpowiedzi: „Jest to opowiadanie o problemach służby zdrowia w czasie epidemii”. Często myślę o osobie, która w tak energiczny sposób załatwiła powieść Pana Alberta. Z pewnością nie zalicza się już do grona czytelników czegokolwiek, a w jej domu znajdują się tylko trzy książki: telefoniczna, kucharska i sennik egipski. Wróćmy jednak do ściągą. Na oko ma format nie nadający się do użytku w czasie pisemnego egzaminu. Ale nie denerwujmy

się – wszystkie wypracowania powtórzone są na końcu drobnym druczkiem, wraz z instrukcją, jak te karteczki składać, żeby mieściły się w rękawie. Do tego dołączony jest apel wydawców, którym marzą się ściągę jeszcze doskonalsze, proszą więc uczniów o nadsyłanie uwag: „Napisz! Weź udział w tworzeniu wielkiej wspólnej ściągę! Wśród autorów listów rozlosujemy nagrody!” Pytanie, jakie to będą nagrody. Bo przecież nie książki, od czytania których takie ściągę skutecznie odzwyczajają? Podobno już czterdzieści cztery procent dorosłych Polaków nie bierze w ciągu roku żadnej książki do ręki. Ta liczba będzie rosła. Chyba że w szkołach rozmnożą się cudotwórcy, a wraz z nimi przekonanie, że literatura to nie cmentarzysko czekających na zgniecenie samochodów. Przy sposobności składam gratulacje tym autorom, których twórczość nie została w bryku „omówiona”, czyli sprasowana na blachę.

GODZINA Z EINSTEINEM

$$E=mc^2$$



EINSTEIN W CYTATACH

zebrała Alice Calaprice, przekład z

angielskiego Marka Krośniaka, Wydawnictwo

Prószyński i S-ka, Warszawa 1997

Miał geniusz, miał talenty, miał uzdolnienia. Jego geniuszem mogą się delektować tylko specjaliści. Nam, nędznym profanom, pozostaje orientacja w jego talentach i uzdolnieniach. Talentów miał dwa: muzyczny, o czym wspominają ci, którzy go znali, oraz literacki, o którym możemy się sami z tej książeczki przekonać. No i jeszcze liczne uzdolnienia. Każdy ma prawo co innego do nich zaliczać – ja zaliczam skłonność do filozofowania, namiętną ciekawość świata, umiejętność klarownego formułowania sądów i poczucie humoru. Można tę listę jeszcze wydłużyć – bo przecież istnieje coś takiego, jak uzdolnienie do lojalnej przyjaźni i uzdolnienie do prostowania własnych błędów. Ale, żeby nie zatopić go w miodzie, przyznać trzeba, że dwóch uzdolnień nie miał: do polityki i małżeństwa. Jego poglądy polityczne to mieszanina wielkiej przenikliwości z naiwnością dziecka. Sam zresztą zdawał sobie sprawę, że to nie jego materia. Na pytanie, czemu uczeni potrafili wynaleźć broń atomową, ale nie potrafili zapobiec jej użyciu, odpowiedział: „To proste, mój przyjacielu: ponieważ polityka jest trudniejsza od fizyki”. W pierwszych latach istnienia państwa Izrael Ben Gurion zaproponował mu prezydenturę (modląc się w duchu, żeby Einstein jej jednak nie przyjął). Wielki uczoney czuł zawsze silną więź ze swoim narodem, ale jednocześnie czuł się obywatelem świata i kotem, który chadza własnymi drogami. Na tego rodzaju urządzenie byłyby z nim same kłopoty. Toteż kiedy odmówił, Ben Gurionowi spadł kamień z serca... Do życia rodzinnego nie pasował także. Dwa razy się żenił, choć nie powinien był wcale. Z kogoś tak zapracowanego i wiecznie czymś zaaferowanego ani troskliwy mąż, ani tatuś wodzący dziatki na długie spacery... Cytaty zawarte w książce wyjęte są z licznych wywiadów, listów, artykułów okolicznościowych. Nie jestem entuzjastką takich powyrywanych z szerszego kontekstu myśli, ale musi mi to na

razie wystarczyć. Godzinka z osobowością tak nieprzeciętną też się liczy. Stosunkowo sporo miejsca poświęcono poglądom Einsteina na Boga, religię i filozofię. Sam zwał się „głęboko wierzącym ateistą”, przyznając równocześnie, że wysokie rejony, w których jako badacz przebywał, przepełniają go pokorą i podziwem dla struktury świata, a tego rodzaju fascynacja staje się już przeżyciem religijnym. I dodawał: „Jeśli Bóg stworzył ten świat, z pewnością nie troszczył się o to, byśmy mogli go łatwo zrozumieć”. I jeszcze jeden cytat, tym razem lżejszego kalibru. Różni uczeni i pseudouczeni nadsyłali mu stosy prac z prośbą o ocenę i poparcie. Gdyby chciał to wszystko czytać, na nic innego nie miałby już czasu. Wreszcie czara cierpliwości się przelała i podyktował sekretarce: „Co się tyczy nadesłanych przez Pana publikacji, profesor Einstein usilnie prosi, aby przez jakiś czas uważał go Pan za umarłego”.

STARY NIEZNAJOMY

Flawiusz Filostratos

ŻYWOT APOLONIUSZA Z TIANY

przekład z greckiego Ireneusza Kani, przedmowa Marii

Dzielskiej, Oficyna Literacka, Kraków 1997



Apoloniusz z Tiany to mój stary dobry nieznajomy. Zetknęłam się z nim po raz pierwszy w *Strefie Apollinaire'a*. Kim był – a ściślej: za kogo go uważano – długo nie wiedziałam. Zupełnie, jakbym żyła w jego czasach (druga poł. I w. n.e.), kiedy też jeszcze świat o nim nie słyszał. Prawdopodobnie cieszył się skromną sławą lokalną jako lekarz i głosiciel nauk pitagorejskich. Dopiero po śmierci wybuchła legenda o jego zadziwiających czynach i dalekich podróżach. Legenda od razu dwukierunkowa. Dla pogan był filozofem, który dzięki ascezie i sile ducha posiadał mądrość nadludzką i zdolność czynienia cudów. Dla chrześcijan przeciwnie – demonem, oszustem i deprawatorem. Żywoć powstał w pierwszej połowie III w. Jest dziełem pogańskiego intelektualisty. Uchodzi za najdłuższą biografię napisaną w języku starogreckim. W dzisiejszym pojęciu nie jest to jednak biografia – zbyt wiele w niej faktów nieprawdopodobnych. Nazwałabym *Żywoć*... powieścią, a jej bohatera – postacią czysto literacką. Czy jest to postać udana? Autor chciał przedstawić Apoloniusza w jak najlepszym świetle, ale przedobrzył.

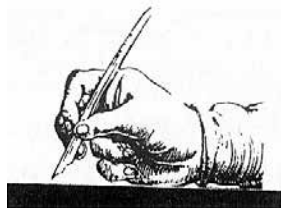
Nie przyszło mu do głowy, że nadmierna doskonałość zaczyna działać na niekorzyść postaci. Stworzył istotę, do której nie ma dostępu żadna ludzka słabość, ból, udręka, zwątpienie. Apoloniusz wie wszystko, na każde pytanie znajduje bez namysłu odpowiedź i radę – oczywiście najszlachetniejszą. Pomaga ludziom, gdzie tylko im tego potrzeba, ale jego dobroć jest z lekka wzgardliwa. Z dziećmi nie rozmawia, bo i po co. Z kobietami także, bo kobiety są jak dzieci. Ale myślę, że największym mankamentem postaci jest to, że nie musimy lękać się o jej losy. Wiemy z góry, że z każdej opresji wyjdzie cało. Wtrącony do lochu i zakuty w łańcuchy Apoloniusz od razu pokazuje uczniowi, jak łatwo mógłby się z nich uwolnić. Oskarżony o spisek

jakis i czary, wygłasza na procesie jedną ze swoich kwiecistych oracji, po czym, nie czekając na wyrok, znika. Po prostu rozwiewa się w powietrzu na oczach sędziów i rzymskiego cesarza... Wolno mi przypuszczać, że nawet ówcześni czytelnicy śledzili jego przygody bez szczególnych emocji. Minęły już czasy wielkiej literatury greckiej, która te emocje potrafiła wzbudzać i, co więcej, wzbudza je do tej pory. Antygona, Edyp, Fedra – od początku wiemy, co się z nimi stanie, a jednak śledzimy akcję z dreszczem grozy i współczuciem. Apoloniusz, stworzony przez późnego Greka, niczego już od nas nie wymaga... Na szczęście dla powieści nie jest domatorem i życie upływa mu na wędrówkach po bardzo dziwnych krainach. Persja, Indie, Egipt... tylko nazwy są rzeczywiste, cała reszta to ówczesna science fiction, bardzo ładnie wymyślona. Warto więc czytać – tym bardziej że spolszczył ją tłumacz świetny, specjalista od dawnych ksiąg, które, jak by się mogło wydawać, dawno już powinny być przełożone. Ale najwidoczniej czekały na niego.

OK?

SZTUKA PISANIA

przekład z angielskiego Jolanty Mach, Galaktyka, Łódź 1996



Od razu zaczęło się niedobrze. *Sztuka pisania* ma na okładce podtytuł: „Tajemnice warsztatu pisarstwa odsłaniają: Ernest Hemingway, John Steinbeck, Kurt Vonnegut i inni”. Po pierwsze, nikt, kto ma ucho, nie napisze „warsztat pisarstwa”, tylko „warsztat pisarski”. Po drugie, wysuniętego na czoło Hemingwaya w ogóle w książce nie ma. Po trzecie, już na wstępie układacz tej antologii przyznaje bez zakłopotania, że nie wszyscy zamieszczeni w niej autorzy są mu znani z twórczości albo czegokolwiek innego, nie mógł przeto sporządzić o nich notek biograficznych. Policzyłam – tych nie zidentyfikowanych obiektów doradzających, jak pisać, jest osiemdziesiąt. Gdyby jednak – dodaje redaktor – któryś z czytelników coś o nich wiedział, proszony jest o kontakt: 1507 Dana Avenue, Cincinnati, Ohio 45207. Apel ten wydawca polski przedrukowuje z powagą godną lepszej sprawy... Książka należy do rodziny poradników, „jak stać się młodym, zdolnym i bogatym”. Tym razem chodzi o to, jak stać się pisarzem. Dominuje pogląd, że pisarzem może zostać każdy, byleby tylko wykazał się pracowitością, cierpliwością i posłuszeństwem. Wśród doradców, którzy szczęśliwie mają tu swoje biogramy, sporo jest redaktorów czasopism, krytyków na wydawniczych posadach i agentów literackich. Patrzą oni na książkę jak na towar, który trzeba sprzedać z zyskiem. Wierzą w istnienie reguł, które ten zysk zapewniają. Autor, czyli dostawca towaru, winien się do tych reguł stosować, a wtedy wszystko będzie OK. Otóż nie będzie, bo każdy jednak inne reguły uważa za najważniejsze. Do tego zgiełku dołączają się głosy pisarzy z prawdziwego zdarzenia. Ich wiara w istnienie żelaznych reguł dobrego pisania jest nieco słabsza. I przeważnie wypowiadają się w kilku zdaniach. Nie wykluczam, że są to urywki kontekstu obszerniejszego, który w całości nie pasowałby do tej prychającej optymizmem książki. Ale i oni bardzo się w swoich receptach różnią. Pomyślałam o początkującym pisarzu, który w naiwności ducha chciałby zrobić użytek ze wszystkich naraz podsuwanych mu rad. Musiałby,

biedaczysko, pisać tylko w pierwszej osobie i jednocześnie tylko w trzeciej; wyłącznie krótkimi zdaniami i równocześnie także długimi; licząc się z czytelnikiem i zarazem wcale się z nim nie licząc. Naturalnie utknąłby na dwóch pierwszych słowach i już nigdy do literatury by nie wrócił. Ale nie widzę czarno jego dalszego losu. Po krótkim pobycie w zakładzie psychiatrycznym zająłby dobrze płatną posadkę w jakiejś agencji reklamowej. Coś mi się zdaje, że facet, który radzi nam myć jedną połowę głowy w szamponie „zwyczajnym”, a drugą połowę w szamponie iks, musiał kiedyś przeczytać tę książkę od deski do deski.

TANGO

Mia Farrow

WSZYSTKO, CO MINĘŁO

przekład z angielskiego Aliny Śmietany,

Wydawnictwo Znak, Kraków 1997



Do skandalu, jak do tanga, trzeba dwojga. Ale trzeba też, żeby ta druga osoba była kimś powszechnie znanym. Gdyby długoletnim towarzyszem życia Mii Farrow był jakiś Smith, hodowca kukurydzy, historia ich burzliwego związku zajęłaby w tych wspomnieniach jedną lub dwie stroniczki, a sama książka nie ukazałaby się na pewno w tak sensacyjnym pośpiechu. No, ale skoro to nie Smith, ale Woody Allen zatruwał życie aktorce, to natychmiast pojawili się wydawcy spodziewający się, nie bez słuszności, że książka znajdzie czytelników nie tylko w Ameryce Północnej i Południowej, ale i w Europie, Azji, Afryce, Australii oraz na Antarktydzie, gdzie stacjonują polarnicy znudzeni widokiem pingwinów. Zaraz też według książki nakręcono film z jakimś aktorzyną wzrostu przygruntowego, w nadziei, że wzrost wystarczy za całe podobieństwo. Pani M. F. miała oczywiście prawo być rozgoryczona i wściekła. Woody poderwał, a nawet potem się ożenił z jej wychowanicą. W dodatku, rzekomo, w tym samym czasie dokonywał czynów lubieżnych na innej jej wychowance, pięcioletniej dziewczynce. To już groziło kryminałem, sprawa oparła się o sąd, który jednak nie znalazł na to wiarygodnych dowodów. Wobec tego teraz my, czytelnicy, mamy przejąć rolę sędziów, choć dysponujemy zeznaniami wyłącznie jednej strony... Dajmy temu wszystkiemu spokój. Zdumiewa mnie tutaj tylko jedno: łatwość, z jaką obecnie ludzie zwierzają się publicznie ze swoich osobistych przeżyć. A im więcej mają widzów i słuchaczy, tym chętniej to czynią. Zazwyczaj dzieje się to czyjś kosztem. Wzgląd na drugą osobę był kiedyś pewnym hamulcem, teraz odwrotnie – działa jako dodatkowy doping. Córka Bette Davis kropi więc książkę o tym, jaką miała okropną mamusię. To samo robi córka Marleny Dietrich. „Aniołki” Clintona są zachwycone nadarżającą się okazją i gdyby tego od nich zażądano, pokazałyby w telewizji na manekinie, jak

się to wszystko odbywało. Albo i nie odbywało, bo przecież nie o prawdę tu chodzi, tylko o wyskoczenie z niebytu na okładki pism. Niestety, nawet o ślicznej Lady Di nie można powiedzieć, że do publicznych zwierzeń zmuszały ją media za pomocą tortur... Wracając do p. Farrow – przyznaję, że spodziewałam się po niej lepszej klasy. Skądinąd jest to postać zasługująca na szacunek. Oprócz dzieci własnych stworzyła dom rodzinny dużej gromadce sierot, przeważnie z Trzeciego Świata. Niejasna jest tylko pewna sprawa – jakaś wyjątkowo bezproblemowa procedura tych adopcji. Zwłaszcza tych ostatnich, które nastąpiły już w czasie, kiedy cały dom trzeszczał w posadach, na zewnątrz oblężony przez fotografów, wewnątrz pełen prawników i różnych psychologów molestujących dzieci podchwytliwymi pytaniami. Nie mówiąc o stanie psychicznym matki, który wówczas wyraźnie odbiegał od normy. Może teraz nastał tam spokój, ale czy na zawsze? A jeśli któreś dorosłe już dziecko uzna, że pobyt w tym domu to temat pikantny, w sam raz na dobrze sprzedającą się książkę? Na pytanie, dlaczego to robi, wzruszy ramionami. Skoro zgłasza się wydawca, scenarzysta i producent filmowy, to właściwie o co jeszcze chodzi?

BYLI

James Shreeve

ZAGADKA NEANDERTALCZYKA

przekład z angielskiego Karola Sabatha, Wydawnictwo

Prószyński i S-ka, Warszawa 1998



Przykra przygoda pośmiertna zdarzyła się pewnemu niemieckiemu poecie, który w XVII w. mieszkał w okolicach Düsseldorfu. Nazywał się Józef Neumann, ale tworzył pod pseudonimem Neander, co jest greckim odpowiednikiem Neumanna. Kiedy zmarł, uczczono go mile: nadano nazwę Neander pięknej krasowej dolinie, po której pewnie często spacerował. No i raptem wszystko na nic. Nikt od połowy zeszłego wieku nie kojarzy tej doliny z pocziwym poetą, ale z kawałkiem znalezionej tam czaszki. Należała do istoty, która też odbywała przechadzki po tej okolicy, ale kilkadziesiąt tysięcy lat wcześniej. W miarę coraz liczniejszych i coraz pedantyczniej badanych wykopalisk stwierdzono, że istoty zwane odąd neandertalczykami żyły na dużych obszarach Europy i Azji Zachodniej. Dzieliły się na szczepy o odmiennych kulturach i pomalutku rozwijały swoje umiejętności. Początkowo uważane przez antropologów za prymitywne małpoludy awansowały do tytułu *homo sapiens*. Był to jednak *homo sapiens* próbny jakiś, alternatywny w stosunku do ludzkości, która, ukształtowana w Afryce, zaczęła w tym samym czasie opanowywać świat, a do której my wszyscy należymy. I właśnie z nami nauka już od dawna kojarzy wyginięcie neandertalczyków. W ostatnich latach upadła teoria polubowna – jakoby N.N. nie ulegli zagładzie, tylko po prostu wtopili się w nową populację. Badania genetyczne dowiodły jednak, że możliwość krzyżówek była wykluczona. Drugiej teorii nikt jeszcze nie obalił i chyba nie obali, chociaż na szczęście prześwitują w niej pewne luki. Głosi ona, że debiut nowej ludzkości na arenie dziejów zaczął się od wytopienia tubylców. Pada nawet okropne słowo „holokaust”... Jednak pojęcie holokaustu mieści w sobie działanie systematyczne i docelowe. Tymczasem wiadomo już, że obie populacje przez tysiąclecia żyły obok siebie, eksploatując nawet na przemian te same tereny. Nowa ludzkość nie

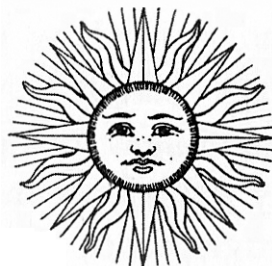
od razu miała nad starą bezapelacyjną wyższość. Był czas, kiedy losy się ważyły. Jest jednak faktem, że w końcu stara ludzkość przegrała, spychana na coraz gorsze łowiska. Ostatnie szkielety N.N. wykazują ślady skrajnego niedożywienia. Książka Jamesa Shreeve'a to przykład kompetentnej popularyzacji. Autor odwiedził wszystkie dostępne wykopaliska, pilnie jeździł na międzynarodowe kongresy, przysłuchiwał się zażartym polemikom i przeprowadzał wywiady ze specjalistami, wiedząc, kogo o co zapytać. A pytań ciągle jest mnóstwo. Między innymi, czy N.N. mówił? Prawdopodobnie tak. Jakie wytwarzał więzi społeczne, jak kształtowało się jego życie duchowe – wierzenia? obraz świata? poczucie własnego ja? Wygląda to na czcze spekulacje, ale z książki dowiemy się, że tego rodzaju pytania są już naukowo na czasie. Jednego tylko pytania nie znalazłam. Czy neandertalczyk płakał? Czy jego gruczoły łzowe reagowały na ból, a zwłaszcza na smutki najprzeróżniejsze? Być może nie potrafił jeszcze tych smutków precyzyjnie nazwać – ale czy byłyby to takie dziwne? Ja sama mam z tym czasami niemałe kłopoty.

TEMAT NA LATO

WIELKA KSIĘGA ANEGDOT

wybór Andrzeja i Remigiusza Pettynów,

Wydawnictwo Kleks, Bielsko-Biała 1997



Pod wpływem tej (czy innej podobnej) antologii można ulec przekonaniu, że tylko ludzie o znanych nazwiskach bywają dowcipni i tylko im zdarzają się zabawne przygody, rzecz jasna, nie tylko im. Cała rzecz polega na tym, że anegdotki, których pierwotnym bohaterem był zwykły Kowalski (Kowalska oczywiście też), albo szybko idą w niepamięć, albo zostają przypisane postaciom popularnym i wtedy dopiero żyją długo. Podejrzewam, że około pięćdziesięciu procent anegdot zawartych w tej (czy innej podobnej) antologii pochodzi od ludzi, o których może kiedyś mówiło jakieś wąskie środowisko, ale nie „cały Paryż”, „cały Londyn”, „cała Warszawa”, Wiedeń, Rzym i Ateny. Straszliwy snobizm panuje w dziedzinie anegdot i człowiek o niewiele mówiącym nazwisku, choćby nie wiem jak dowcipny, nie ma szans się przebić. Sama dwa czy trzy razy byłam świadkiem, jak rodził się dowcip w trakcie czyjejś z kimś rozmowy. Ktoś z obecnych powtórzył go komuś jeszcze innemu, potem zalegała wielomiesięczna cisza i raptem dowcip wracał, tyle że już powiązany z jakimś głośnym nazwiskiem. Trzeba jednak przyznać, że zazwyczaj w doskonalszej postaci. Po drodze nieznani przekaziele uwalniali anegdotkę od szczegółów zbędnych, szlifowali ją i retuszowali. Czasem dla jej dobra awansuje nie tylko główny bohater, ale również jego partner, jeśli sytuacja tego wymaga. Weźmy na przykład anegdotkę, która liczy już sobie 2300 lat i jak dotąd trzyma się niezłe: tę o Diogenesie w beczce i Aleksandrze Wielkim. A może na początku nie był to wcale Aleksander? Może nad beczką, w której rezydował filozof-abnegat, stanął jakiś zwykły przechodzień i przypuszczając w dobroci serca, że filozof ma jakieś przejściowe mieszkaniowe trudności, spytał zatroskany: „Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić? – Odejść stąd – padła słynna odpowiedź – zasłaniasz mi słońce”. Przygodni słuchacze uznali, że jest to riposta na tyle dobra, że warto ją puścić w obieg. I tak długo ją powtarzali, że w gwarze i śmiechu przepadł gdzieś zacny grecki

Kowalski, a na jego miejscu stanął Pan Świata w złotym szyszaku. Na tej wymianie zresztą odpowiedź Diogenesa zyskała niepomrotnie – nabrała zuchwałości, za którą do dziś ją cenimy. Oczywiście, mogę się mylić. Nie mam żadnego dowodu, że tak właśnie było. Wbrew temu, co sądzą młodzi poeci o starszych poetach, nie żyłam jeszcze wtedy na świecie. Ale, proszę państwa, mamy lato. Czas, żeby przewietrzyć sobie skórę, płuca, głowę, a przede wszystkim odpocząć od własnej nieomylności.

DATY OKRĄGLE

Georges Duby

ROK TYSIĘCZNY

przekład z francuskiego Małgorzaty Malewicz,

Oficyna Wydawnicza Yolumen, Warszawa 1997



W wieku IX Europa Zachodnia znalazła się w śmiertelnej prawie zapaści. Nękały ją od południa ataki i podboje Saracenów, od północy i południa Normanów, od wschodu Węgrów. Łupione były i palone miasta, burzone świątynie, paraliżowany handel i rolnictwo. Nastąpiły czasy głodu i zdziczenia. Po dziele Karola Wielkiego pozostało już tylko wspomnienie. W wieku X sytuacja uległa pewnej normalizacji, powoli wydobywano się ze zniszczeń. Zaczęła się kształtować klasa rycerska, a wraz z nią prawa feudalne, na pewno stokroć lepsze od poprzedniego bezprawia. I oto właśnie wtedy rozpowszechnia się wieść o rychłym końcu świata, zapowiedzianym przez Apokalipsę. Rok Tysięczny miał być poprzedzony złowieszczymi znakami, potem miało nastąpić krótkie, ale straszliwe panowanie Antychrysta, skutkiem czego stary świat musiałby zginąć, a w jego miejsce powstać nowy wraz z nadejściem Chrystusa w pełnej chwale. Zaczęto więc tych znaków pilnie wypatrywać. No cóż, trzęsienia ziemi zdarzały się zawsze, zaćmienia Słońca i Księżycy nawet regularnie i zawsze w czyjejś obórcie rodziło się cięły z dwoma głowami. Teraz jednak były to już znaki zwiastujące rzeczy ostateczne. Również heretycy różni i sekciarze, których nigdy przedtem też nie brakowało, urosli teraz do rangi bezpośrednich wysłanników Antychrysta. Sam Rok Tysięczny musiał więc przebiegać w przeokropnej trwodze, oczekiwaniu na najgorsze, w nastroju wzmożonej pokuty i wybuchach paniki. Takim przekazuje go późniejsza tradycja. Bo – o dziwo – ówczesni annaliści (niewielu ich zresztą było) o tym właśnie roku milczą, choć notowali wydarzenia lat poprzednich i następnych. Autor, znakomity francuski mediewista, tłumaczy ten brak w sposób bardzo przekonujący: ponieważ rok ten nie spełnił przepowiedni, jakoś głupio było pisać, że nic się w nim nie działo... Książka ukazuje się na czasie. Zbliża się Rok Dwutysięczny i znowu w wielu umysłach

nastroje eschatologiczne się zagęszczają. Nie czuję się na siłach, żeby dokonywać jakichś porównań i analiz. Wiem tylko jedno: ludzie współcześni zachowują nadal pradawną skłonność do dat okrągłych. Wierzą, że coś starego powinno się wtedy skończyć, a coś nowego rozpocząć. W korespondencji, jaka do mnie przychodzi, zostałam o tym powiadomiona już trzema listami. Pierwszy informował mnie zupełnie bezinteresownie, że koniec świata jest bliski i położy wreszcie kres bezmyślnym igraszkom, którym podobno oddawałam się przez całe życie. Drugi list (a właściwie gruby pakiet) zawierał opis objawień, jakie w ostatnim czasie nawiedziły nadawcę. Przedstawił mi się jako człowiek skromny, świadomy tego, że pisanie przychodzi mu z trudem, toteż usilnie nalegał, żebym poprawiła mu wszystkie błędy ortograficzne i stylistyczne, po czym natychmiast odesłała tekst z powrotem. Trzeci list uprzytomnił mi, że koniec świata to jednak inwestycja. Przeto autor, zajęty głoszeniem tej przykrej nowiny, podaje mi swoje konto doczesne i określa potrzebną sumę. Inne listy jeszcze w drodze.

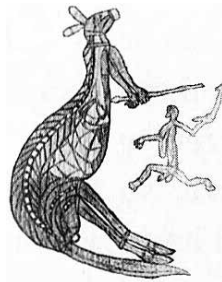
CO BY BYŁO GDYBY

Mudrooroo

MITOLOGIA ABORYGENÓW

przekład z angielskiego Mirosława Nowakowskiego, posłowie Włodzimierza

A. F. Żukowskiego, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 1997



Aborygeni w Australii zostali niestety odkryci za wcześnie. Gdyby to się stało dwieście lat później, czyli z końcem XX wieku, nie doszłoby, mam nadzieję, do wyniszczenia tego ludu żyjącego sobie jeszcze w głębokim paleolicie. Znaleźliby się pod opieką najpoważniejszych organizacji międzynarodowych. Do brzegów Australii przybijałyby okręty pełne nie kryminalistów przeznaczonych na osiedlenie, ale uczonych z wielu dziedzin, a nade wszystko antropologów, aż chorych na biegunkę z przejęcia, że oto niebawem zetkną się z najstarszą kulturą ludzkości zachowaną w żywym i dobrym stanie. Samolotami zlatywałyby się chmary dziennikarzy i reportaży sto w, ale na miejscu dowiadywaliby się, że nic z tego. Będzie wydawana tylko jedna przepustka rocznie, a pierwszą dostał właśnie Ryszard Kapuściński. (Co do pań Szczęsnej i Bikont, to nie wiem, jakimi sposobami, ale byłyby na miejscu już wcześniej, żeby sprawdzić u źródła, czy tubylcy nie układają przypadkiem limeryków...) Jeśli aborygeni mieliby na co narzekać, to chyba na nadmiar opiekuńczości. Przynajmniej na początku. W każdym razie nikt nie strzelałby do nich jak do dzikiej zwierzyny. No i naturalnie starano by się ich policzyć. Dziś przypuszcza się, że żyło ich w XVIII wieku od 300 do 700 tysięcy. W połowie XIX wieku liczba ich wynosiła już tylko tysiące kilkanaście. Obecnie liczba ta znowu wzrasta, co jednak nie znaczy, że wszystko już jest w porządku. W demokratycznej i bogatej Australii są populacją najuboższą i najmniej świadomą swoich praw. Pierwotnie żyli w niedużych grupach plemiennych oddzielonych od siebie nieprzebytymi przestrzeniami. Było tych grup około 500, a każda mówiła innym językiem. Istna wieża Babel, tyle że na odwrót: najpierw panowało wielkie języków pomieszanie i dopiero później, za karę (tylko za jaką karę, jaką?), języki zaczęły zniknąć wraz z ich użytkownikami i stopniowo dążyć do jednego. Większość aborygenów mówi

już tylko po angielsku. Żyją przeważnie z powielania przedmiotów swojej pradawnej sztuki, rzadko rozumiejąc jej pierwotne znaczenia. Również i ta książka została po angielsku napisana, choć jej autorem jest rdzenny aborygen. Do straszliwych spustoszeń doszło zresztą nie tylko wskutek okrucieństwa i bezmyślności ze strony osadników. Również i misjonarze, którzy w swoim przekonaniu chcieli jak najlepiej, przyczynili się do rozpadu więzi plemiennych przez niszczenie przedmiotów kultu i miejsc tradycyjnych zgromadzeń. Pozbawieni tego aborygeni zaczęli tracić poczucie przynależności do czegokolwiek, wiedli jak rośliny wyrwane z ziemi z korzeniami, popadali w depresję i umierali. Nie potrafili być jeszcze jednostkami żyjącymi na własną odpowiedzialność. .. Ale zaraz, zaraz. Chyba się trochę zagalopowałam. Bo czy my, którzy kulturę paleolitu mamy już dawno poza sobą, potrafimy być w pełni „jednostkami”? Od wszystkiego i wszystkich niezależnymi? Podobno udaje się to ascetom w Indiach, ale to co innego. Ja mam na myśli ludzi, którzy od życia nie uciekają. A ci, czy chcą tego, czy nie chcą, zaplątani są w siatkę widzialnych i niewidzialnych związków...

KOCIA MUZYKA

François Lebrun

JAK DAWNIEJ LECZONO – LEKARZE, ŚWIĘCI
I CZARODZIEJE W XVIII XVIII WIEKU

przekład z francuskiego Zofii Podgórskiej-Klawe,
Oficyna Wydawnicza Yolumen, Warszawa 1997



Wiadomo: żeby się leczyć, trzeba mieć końskie zdrowie. Większość nie wykrytych w porę chorób spowodowana jest niechęcią do badań i uciążliwych terapii. Ale to nic w porównaniu z terapiami stosowanymi w dawnych wiekach. Nie będę się tu naigrawać z zawartości łykanych medykamentów ani z operacji robionych bez znieczulenia brudnymi paluchami. Ostatecznie o chorobach wiedziano jeszcze bardzo mało. I nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że przez długie wieki nie chciano o nich wiedzieć więcej. Cały wiek XVII i prawie trzy czwarte następnego to w medycynie okres umysłowego zastoj. Opierano się na autorytecje lekarzy starożytnych: czego nie było w ich księgach, to po prostu nie istniało. A ponieważ nie było tam nic o krążeniu krwi, które odkrył Harvey, i nic o szczepieniach przeciw ospie, które zaczął już stosować Jenner, przez całe dziesięciolecia oficjalna medycyna nie przyjmowała tych nowinek do wiadomości. Opór wzmacniały dodatkowo przesady religijne. Czytałam gdzieś, że cierpiący na malarię Cromwell stanowczo odmówił zażywania kory z chinowca, o której przeciwgorączkowych właściwościach już wiedziano. Powód był jeden: lek przywędrował do Anglii pod nazwą „proszek jezuitów”... A jak było we Francji? Wprawdzie zdobyła się ona na Moliere, jednak w mentalności lekarzy nic się przez to na razie nie zmieniło. We francuskich archiwach przechował się prawdziwy rarytas – *Dziennik zdrowia* Ludwika XIV, prowadzony kolejno przez jego przybocznych doktorów. Przez ponad sześćdziesiąt lat notowali oni systematycznie królewskie przypadłości i sposoby ich leczenia. Włosy się jeźą. W opisywanym czasie Najjaśniejszy Pan przyjął ponad dwa tysiące lewatyw. W przerwach między lewatywami stosowano środki wymiotne. Oprócz tego energicznie puszczano mu krew, nawet w okresach, kiedy

czuł się dobrze, „z przezorności”, dla oczyszczenia organizmu... Potem trzeba było naturalnie leczyć skutki tego leczenia, a następnie skutki leczenia tych skutków. Musiał być król osobnikiem wyjątkowo silnym, zaprogramowanym przez geny na jakieś sto dwadzieścia lat życia, skoro przy takich metodach dożył aż prawie osiemdziesiątki. Jego poddani żyli krócej. Przeciętna długość życia wynosiła dwadzieścia osiem lat. Kiedy młoda para brała ślub, żyło przeważnie tylko jedno z czworga ich rodziców. A z dzieci co czwarte umierało w ciągu pierwszych dwunastu miesięcy. Jednak coś się już nieznacznie poprawiało. Szpitale otrzymały zalecenie, żeby tylko po dwóch chorych lokować w jednym łóżku, a nie, jak dotąd, po trzech albo czterech. Miło też odnotować, że chorych psychicznie nie trzymano już w kłatkach. Upychano ich w przeznaczonych do tego salach, furiatów niestety razem z melancholikami. Zdarzali się jednak lekarze troszczący się o ich dobre samopoczucie. W zasobniejszych szpitalach pojawił się nawet tzw. koci fortepian. struny były w nim zastąpione żywymi kotami - przy każdym naciśnięciu klawisza stworzenia miauczały rozdzierająco. Podobno wywoływało to u słuchaczy pożądaną w tym piekle wesołość.

TAJEMNICA DOCENTA TWARDZIKA

Wacław Twardzik

O UWAŻNIEJSZYM ANIŻELI DOTYCHMIAST TEKSTU
STAROPOLSKIEGO CZYTANIU I JAKIE Z NIEGO POŻYTKI
PŁYNĄ ROZPRAWA ŚLICZNA I PODZIWIENIA GODNA

Instytut Języka Polskiego PAN, Kraków 1997



Docent Wacław Twardzik ma pewną tajemniczą właściwość: nie sposób go przywołać do telefonu. W porze śniadania – właśnie wyszedł do pracy. W porze obiadu – właśnie jest w pracy. W porze kolacji – jeszcze nie wrócił z pracy. O godzinie 4 nad ranem – właśnie wrócił z pracy i śpi. Myślałby kto, że ten tak straszliwie zajęty człowiek ciula pieniądze na willę z ogrodem, sauną, psiarnią i stajnią dla koni wyścigowych. No, nie. Twardzik jest pracownikiem naukowym, a jak wiadomo, u tego typu ludzi pławienie się w dostatku nie należy do czynności możliwych. Jeśli ma się szczęście, można Wacka spotkać w pobliżu Instytutu Języka Polskiego. Jest bowiem językoznawcą, specjalistą m.in. od odczytywania tekstów staropolskich. Nie pierwszym, oczywiście, nie jedynym, nie ostatnim. Robi to własną metodą, którą prezentuje na licznych przykładach zaczerpniętych z *Rozmyślenia o żywocie Pana Jezusa*. Książka ma tytuł frywolny, ale ten tytuł to dla laików pułapka. Ani się nie obejrzymy, jak zostaniemy wessani w wir zawilych dociekań. Bo cóż my wiemy o starych manuskryptach? Na oko wyglądają pięknie, ale już krój liter stwarza trudność przy odczytywaniu. Nic to jednak w porównaniu z dwiema przeszkodami kolejnymi, których bez pomocy ekspertów już nie przeskoczymy. Pierwsza to nie ustalona jeszcze pisownia. Każdy kopista wedle własnego ucha i fantazji radził sobie z fonetycznym zapisem zgłosek, których w alfabecie łacińskim nie ma. Druga przeszkoda, dużo gorsza jeszcze: skróty. Pergamin był drogi, na każdej paginie starano się pomieścić jak najwięcej tekstu. Toteż zdobywano się na wyczyny iście diabelskie. Łamano i rozdzielano wyrazy, niektóre opuszczano, licząc na domyślność czytelnika, początki innych doczepiano do słów poprzednich, pomijając ich zakończenia, a gdzieś tam sygnalizowano jakiś wyraz

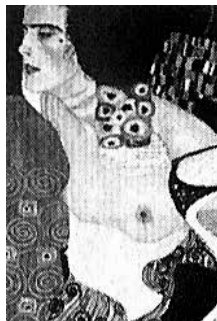
jedną czy dwiema literkami zakamuflowanymi w słowie następnym. *Rozmyślanie...* odczytał i opublikował Aleksander Brückner. Wielki to był uczony, ale od jego czasów językoznawstwo postąpiło kilka kroków naprzód. Nie zawsze radził sobie z tymi słownymi zbitkami, niektóre opatrywał znakiem zapytania, a niektóre odczytywał mylnie. Cierpiał na tym sens niejednego zdania, kulała składnia. Pozostawało mylne wrażenie, że polszczyzna jeszcze na początku XVI wieku niedorozwinięta jakaś była, bełkotliwa... Dzięki Twardzikowi będziemy mogli odetchnąć z ulgą. Nie było już w tej polszczyźnie żadnego dukania i nieporadności. Były tylko jeszcze kłopoty z jej zapisywaniem, tak jak dziś są tylko kłopoty z jej odczytywaniem. Gdyby wehikuł czasu przeniósł nas w tamtą epokę, porozmawialibyśmy sobie bez większych przeszkód. Co najwyżej mielibyśmy wrażenie, że ludzie mówią do nas jakąś gwarą – wtrącając od czasu do czasu wyrażenie niezrozumiałe już, ale swojsko brzmiące.

Jak wyżej powiedziałam, Twardzik przedstawia w swojej książce tylko metodę pracy. Na pełny tekst odczytanego na nowo *Rozmyślania...* będziemy musieli jeszcze poczekać. Ale ja już teraz mam się z czego cieszyć. Dowiedziałam się nareszcie, dlaczego Twardzika nie można było nigdy przywołać do telefonu. W porze śniadania – właśnie wyszedł do pracy. W porze obiadu – właśnie jest w pracy. W porze kolacji – jeszcze nie wrócił z pracy. O godzinie 4 nad ranem – właśnie wrócił z pracy i śpi.

KOBIETY KLIMTA

GUSTAW KLIMT – ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

z licznymi ilustracjami i rysunkami, opracowała Susanna Partsch, przekład
z niemieckiego Anny Kozak, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 1997



Jeśli Wiedeń – to koniecznie secesja, jeśli secesja – koniecznie Gustaw Klimt, jeśli Klimt – koniecznie przepiękne młode kobiety. Do jego olśniewających kompozycji figuralnych pozowały modelki, do portretów – damy z wyższych sfer. Czasem, jak podejrzewam, odrobinę odmłodzone i wysubtelnione. Ale naprawdę tylko odrobinę – żadnej przysadkowatej baronowej po czterdziestce Klimt by jednak nie portretował nawet za sumę dziesięciokrotną. Patrząc na te portrety i zastanawiam się, czy te panie w ogóle istniały w rzeczywistości. Chyba tak, choć sprawiają wrażenie jakiegoś osobliwego gatunku flory. Kwiatów, które przyglądają się nam spod przymrużonych płatków. „Ta kobieta była tak piękna, że przejmowała mnie lękiem” – napisał o takim właśnie okazie Apollinaire, który, zgodnie z powyższym wyznaniem, gustował w paniach bardziej pospolitych. To zresztą ciekawe: secesja była prądem nowatorskim, wybiegała naprzód już choćby w komponowaniu przestrzeni i zaskakującym łączeniu plastycznych technik i tworzyw, ale lansowany przez nią typ kobiecej urody nie nadążał za duchem czasu. Fotografie z tej epoki mówią przecież co innego. Mamy tu już kobiety na rowerach, na nartach, przy kierownicy samochodu, przy sterze łodzi, na kortach tenisowych, a nawet gramolące się po alpejskich zboczach z lekko podwiniętymi spódnicami. Trudno sobie wyobrazić, żeby kobiety Klimta robiły w życiu coś takiego. Nie wydaje się możliwe, żeby ich śliczne dłonie trzymały kiedykolwiek codzienną gazetę. Albo żeby ich równie śliczne pośladki siadały na jakimś powalonym pniu drzewa czy na kamiennych schodkach do pałacu. Jeśli w ogóle decydowały się siadać, to na sofie zarzuconej drogocenną materią i haftowanymi jedwabiem poduszkami. Jeśli przy mieszaniu herbaty w filiżance upadła im na parkiet złota łyżeczka, to naturalnie dzwoniły na służbę – żeby im ją podniosła. Myślę, że wszystkie były zachwycone portretami, które robił im Klimt. I tylko jedna się zbuntowała. Była nią córka wiedeńskiego „króla stali”,

Margareta Wittgenstein, osóbką bardzo już niezależną w poglądach i poczynaniach. Studiowała nauki ścisłe, przez jakiś czas pracowała w laboratorium chemicznym i biegała w zabłoconych bucikach (zapiętych na 20 guzików każdy) na wykłady z filozofii i literatury. Na portrecie jest tylko zachwycającą panną na wydaniu, a to jej wyrażnie nie odpowiadało. Postarała się, żeby w jej rodzinnym domu obraz nie wisiał długo, a kiedy wyszła za mąż i wyjechała do Ameryki, nie zabrała go ze sobą. Była to z pewnością psychologiczna porażka znakomitego portrecisty, jakiś groźny pomruk z przyszłości... Tyle w tej krótkiej impresji o Klimcie – malarzu kobiet. Bo jest jeszcze Klimt pejzażysta. Dla mnie to pejzaże niezwykle, choć niby nic na nich specjalnego: las, łąka, domki nad wodą. Ale gdyby – co nie daj Boże – na jakiejś zbiorczej wystawie Klimta wybuchł pożar i gdybym miała możliwość wyniesienia stamtąd bodaj jednego obrazu, byłby to pejzaż pt. Brzozy. Mam nadzieję, że zachowałabym się jak należy i zwróciła muzealnikom. Ale po ciężkiej walce z paskudną pokusą zatrzymania go na własność...

ZŁOWIESZCZA KOMÓRKA

Theo Aronson

CESARZE NIEMIECCY 1871-1918

przekład z niemieckiego Miry Czarnieckiej,

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998



Do wybuchu pierwszej wojny światowej wcale dojść nie musiało, twierdzi autor. Zdecydowała o niej okoliczność nieprzewidywalna, czyli przypadek. Nasze uczucia wobec tej wojny są mieszane i takie pozostaną. W jej wyniku przecież my i kilka innych krajów uzyskaliśmy suwerenny byt państwowy. Święta prawda, ale to był tej wojny skutek, nie przyczyna. Żadna ze stron przystępujących do walki nie miała tego w planie. Można więc o początkach tej strasznej masakry myśleć na zimno. Głównym detonatorem był militarizm niemiecki z Wilhelmem II na czele. Czy jednak jego wojownicze ambicje musiały przeważać, oto jest pytanie. Opowieść autora obejmuje dzieje trzech cesarzy niemieckich – więcej ich później nie było. Wilhelm I po zwycięskiej wojnie z Francją awansował dzięki Bismarckowi z króla Prus na cesarza Niemiec. Wnuk jego, Wilhelm II, żądny dalszych sukcesów, które się jednak nie ziściły, musiał z tronu zrezygnować. Ale między nimi był cesarz Fryderyk – i tu właśnie zaszalał przypadek. Jako wieloletni następca tronu (jego ojciec panował bardzo długo) od udziału w rządach był starannie odsuwany. Uchodził bowiem za liberała, co w oczach ojca oznaczało anarchistę, a w oczach Bismarcka pacyfistę, czyli odstępę od pruskich tradycji. W rzeczywistości znany był po prostu jako gorący zwolennik monarchii typu angielskiego, która w przeciwieństwie do niemieckiej liczyła się z wolą parlamentu i nie ograniczała go przy każdej spornej kwestii. Fryderyk nie był osamotniony w swoich przekonaniach, duża część społeczeństwa oczekiwała demokratycznych zmian i widziała w nim swoją nadzieję. I wszystko mogło pójść tym właśnie torem, gdyby nie... Po prostu jakaś komórka w gardle księcia zaczęła ulegać morfologicznym przeobrażeniom i rozmnażać się w nowej postaci. Słowem, Fryderyk zapadł na raka krtani, chorobę wówczas prawie w stu procentach nieuleczalną. Kiedy wreszcie zmarł stary cesarz, synowi pozostały

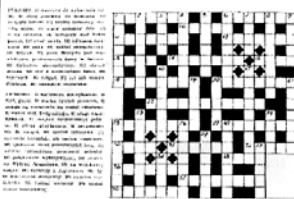
już tylko trzy miesiące bezsilnego życia. W tym też czasie jego z kolei syn, zdrowy i głupi Wilhelm II, z wypiekami na twarzy przymierzał już przed lustrem nowe cesarskie mundury. Bo taki miał pomysł na rządzenie krajem. A swoją drogą, co się stało z tymi mundurami? Kiedy jako wygnaniec osiadł w Holandii, zabrał je pewnie z sobą w trzydziestu pięciu kufrach. Nie było tam żadnego munduru utyłanego w krwawym błocie okopów czy, uchowaj Boże, podziurawionego kulami. Wszystkie jak spod igły, posypywane czule naftaliną. Książkę czyta się jak dobry kryminał. Kryminałów się co prawda nie opowiada, ale proszę zauważyć, że zrobiłam to w błyskawicznym skrócie. Bez szczegółów, które są najciekawsze.

W SZPONACH RELAKSU

RELAKS – 101 PRAKTYCZNYCH PORAD

tłumaczenie z angielskiego, Książka i Wiedza, Warszawa 1998

krzyżówka mecz nr 11



Między odpoczynkiem a relaksem zachodzą głębokie różnice. Człowiek odpoczywający robi to, na co ma ochotę – chce spać, to śpi, łązić po lesie, to łązi, czytać Joyce’a, to czyta Joyce’a. W relaksie taka samowola jest niedopuszczalna. Każda chwila wolna od pracy zawodowej i innych obowiązków powinna być gorliwie wykorzystana na gimnastykę i masaż, a przedtem jeszcze na przygotowanie sobie odpowiednich warunków do tej gimnastyki i masażu. Żadnej, proszę państwa, improwizacji. Nawet w sferze psychiki, która też poddawana jest swoistemu rozmasowywaniu. Relaks bowiem ma nas doprowadzić do tego, żebyśmy się niczym za bardzo nie przejmowali. Typem lansowanym przez tego rodzaju popularne poradniki jest po prostu zdrowy wyspany idiota. Jedynym obiektem zainteresowania powinno być dla niego własne ciało. Naturalnie przyda mu się garść informacji o świecie zewnętrznym – redaktorzy (podobno „eksperci”) zadbali, żeby je dostał. Otóż: „pies jest wiernym towarzyszem”, „naturalne oświetlenie rozjaśnia pokój”, „ustaw meble tak, żeby nie przeszkadzały”, „napawaj się pięknem przyrody”, „zepsute produkty wyrzucaj”. Słusznie, tylko po co to wszystko tłumaczyć z angielskiego? Czyżbyśmy krajowymi siłami nie mogli zdobyć się na komunikat, że „w czasie oddechu wprowadzamy do płuc powietrze”? I czy trzeba aż z ojczyzny Newtona importować wiadomość, że mózg składa się z dwóch półkul, przy czym lewa odpowiedzialna jest za „zajęcia wymagające myślenia, na przykład rozwiązywanie krzyżówek”? Nie mam nic przeciw krzyżówkom, ale to, że tylko one figurują tutaj jako przykład umysłowego wysiłku, jest charakterystyczne. W czasie relaksu, owszem, dopuszczalna jest jeszcze muzyka. Ale koniecznie łagodna, cicha, mile towarzysząca przysiadom. A już zupełnym milczeniem pominięte są takie fanaberie, jak odwiedzanie galerii sztuki, słuchanie odczytów, chodzenie do teatru czy rozmowy z kimś, kto potrafi mówić nie tylko o zjedzonych kaloriach. Książkę zaleca się w czasie relaksu dwa razy, w obu przypadkach jako zło konieczne. Wieczorem,

kiedy oczy się jeszcze nie kleją, „zaczynij czytać jakąś pogodną książkę, aż poczujesz senność” – i przy pakowaniu walizki przed wyjazdem: „zabierz ze sobą książkę, żeby uniknąć nudy w czasie długiej podróży”... Na koniec wyznanie osobiste. Bardzo lubię wypoczywać. Może nawet za bardzo. Nigdy natomiast nie uprawiałam relaksu. Nie miałam więc pojęcia, co w ten sposób tracę. Teraz przynajmniej wiem.

SŁÓWKO O GOLASACH

Maguelonne Toussaint-Samat

HISTORIA STROJU

przekład z francuskiego Krystyny Szeżyńskiej-Mačkowiak,

Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 1998



Zwierzęta nawet nie próbują wyglądać inaczej, niż zaplanowała to dla nich natura. Noszą pokornie swoje pancerzyki, łuski, kolce, pióra, kudły i puchy. Nawet zmiany, jakim podlega ich wygląd w pewnych sytuacjach i sezonach życia, zachodzą w nich automatycznie. Wilk w owczej skórze to postać hasająca w krainie alegorii. Prawdziwemu wilkowi nic podobnego nie przysłoby do głowy. Świadoma dążność do zmiany swojego wyglądu to cecha wyłącznie ludzka. W każdym razie nie natrafiono jeszcze na kulturę tak prymitywną, żeby można było kategorycznie stwierdzić, że jej twórcy poprzestawali na swojej naturalnej nagości. Zawsze chyba próbowali coś w niej zmienić, coś do niej dodać. Proszę zauważyć, że tzw. Wenus z Willendorfu też nie jest całkiem naga. Nie ma wprawdzie naszyjników i bransolet, ale jej główka jest bardzo pięknie utrefiona. A fryzura to także strój. Dla autorki tej książki strój to przede wszystkim futra, tkaniny i inne tworzywa służące do okrycia ciała. Ja do stroju zaliczyłabym także wszelkie tatuaże, nacięcia na skórze, plecionki, pióropusze i różnobarwne malunki na ciałach.

Wszystko to oczywiście ma jakieś znaczenie, coś sygnalizuje. Ale jest strojem, a nie nagością. Misjonarze wracający z nowo odkrywanych ziem opowiadali ze zgrozą o goliźnie dzikich plemion. Ale tak naprawdę nikt z nich autentycznego golasa nie widział. Mogły to być ewentualnie dopiero co narodzone dzieci. Chociaż i to wątpliwe. Zaopatrywano je przecież co prędzej w jakieś amulety przeciw złym mocom, w jakieś znaki przynależności do grupy. Przeskakując szerokim łukiem do naszych czasów (pchła powinna być w herbie felietonistów), warto pomyśleć, jak to jest u nas z tą nagością. Owszem, pojawia się ona w wielu okolicznościach, ale jest to nagość zawsze tylko chwilowo z czegoś rozebrana. Na plaży nudystów jest się golasem od – dajmy na

to – godziny 8.30 do 19.

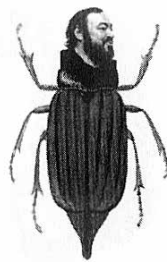
I to tylko przy sprzyjającej pogodzie. Miałam kiedyś okazję zerknąć na taką plażę. No i co? Nagusów absolutnych jakoś tam nie wypatrzyłam. Widziałam kapelusze chroniące głowy od słońca, okulary w wymyślnych oprawkach, a na nogach sandały najróżniejsze. Niektórzy nosili na przegubie ręki zegarek. Bo przecież trzeba wiedzieć, czy nie zbliża się już pora powrotu do codziennych dzinsów.

ORZECH I POZŁOTKA

Marcia Lewis

PRYWATNE ŻYCIE TRZECH TENORÓW

przekład z angielskiego Bożeny Stokłosy, Świat Książki, Warszawa 1999



Wielcy śpiewacy zawsze byli idolami. Także w czasach, kiedy to określenie jeszcze nie funkcjonowało. Zawsze noszono ich na rękach, choć od czasu do czasu upuszczano z łoskotem na ziemię. Do ich entuzjastów należeli nie tylko prawdziwi znawcy sztuki wokalne, ale i dużo od nich liczniejsze rzesze snobów, którzy klaskali, wyli, gwizdali i mdleli, ponieważ widzieli, że inni tak robią. Nie inaczej dzieje się dzisiaj podczas występów Dominga, Pavarottiego i Carrerasa, tylko że – dzięki mass mediom – w tysiącrotnym jeszcze natężeniu. Książka p. Lewis w zakresie plotek i sensacyjnych wydarzeń zaspokaja w zupełności naszą ciekawość. Wszystkiego tu dużo – olśniewających sukcesów, skandali, awantur, zakulisowych intryg i romansów. Są też dość liczne fotografie – a to z księżną jakąś, a to z miliarderem na szampańskim przyjęciu, a to z kolejną podobno kochanką. Nazywa się to „życiem prywatnym”, choć tak po prawdzie to tylko cienka pozłotka tego życia. Pod spodem jest orzech szary i twardy, czyli, inaczej mówiąc, ciężka, monotonna, wytrwała harówka. Autorka mało o niej wspomina. Bo to nieefektywne, nudne i kogo może obchodzić? Co dzień obowiązkowe ćwiczenia oddechowe i wokalne, próby z akompaniatorem, próby z partnerami, próby z orkiestrą, narady z menedżerami, nagrania wielokrotnie powtarzane, aż zabrzmia tak, jak powinny, przymiarki kostiumów, wywiady, podczas których trzeba się mieć na bacności. I jeszcze te hotele, każdy podobny do stu poprzednich, że w końcu nie wiadomo, gdzie się jest. Nie mam pewności, czy w takich warunkach można być skutecznym playboyem. Młody jeszcze i przystojny Domingo podczas niespełna rocznego pobytu w Tel Awiwie wystąpił w ponad dwustu przedstawieniach i wyuczył się na pamięć ponad pięćdziesięciu ról operowych. Jeśli w tym zapracowaniu zdarzyła się niekiedy szczelinka wolnego czasu, to wątpię, czy przeciskały się przez nią modelki z biustami pękatymi od silikonu. Po przedstawieniu trzeba się przecież porządnie wyspać,

bo nazajutrz czeka kolejny występ, a przed południem próba do nowej opery. Tak więc pogłoski o miłosnych podbojach tych skądinąd interesujących panów należałoby umniejszyć o połowę. O ile nie o trzy czwarte... Jeszcze dwie presje, spod których ciężaru słynni śpiewacy nigdy nie mogą się wydobyć. Pierwsza to trema, dużo gorsza niż u aktorów teatru „mówionego”. U tych ostatnich lekkiego kataru nikt nawet nie zauważy. U śpiewaków będzie to natychmiast usłyszane i komentowane jako pierwszy sygnał kończącej się kariery. Na fotografiach śpiewacy uśmiechają się promiennie, ale w środku dygocą. Jak siłacze, którzy za moment mają podejść do sztangi. A druga presja to te nie kończące się dyskusje w prasie, który z nich jest „tenorissimo”, czyli lepszy od dwóch pozostałych. Dla mnie wszyscy śpiewają pięknie, wszyscy trzej są najlepsi i jestem im za to jednakowo wdzięczna. Jeśli odrobinę bardziej wzrusza mnie Pavarotti, to tylko dlatego, że we fraku wygląda jak jakiś wielki czarny chrząszcz, a ja urodę chrząszczy stawiam bardzo wysoko.

GALICJA I LODOMERIA

Mieczysław Czuma i Leszek Mazan

AUSTRIACKIE GADANIE, CZYLI

ENCYKLOPEDIA GALICYJSKA

(mnóstwo ilustracji) Oficyna Wydawnicza Anabasis, Kraków 1998



Kiedy mowa o Galicji, dopuszczalny jest ton żartobliwy. Nie da się podobnym tonem mówić o innych zaborach.

O cesarzach Prus i Rosji nie opowiadano sobie anegdotek. Tylko Franciszek Józef, długo i miłościwie panujący, zagnieździł się w naszej wyobraźni jako dobrotliwy i z lekka zramolały staruszek. Trzeba jednak mieć na uwadze, że staruszkowie nie od razu rodzą się staruszkami, a ich późniejsza dobrotliwość bywa czasem wymuszona przez okoliczności. Aż do lat sześćdziesiątych XIX wieku żyło się w Galicji tak jak w innych zaborach, czyli bardzo źle. Ta sama panowała tu bezwzględność w tłumieniu ruchów wolnościowych, ta sama dążność do wynaradawiania ludności. Do kraju napływały fale urzędników, którzy mieli na oku wszystko, co się ruszało. Pętla poluzowała dopiero wtedy, kiedy Galicja uzyskała autonomię nie z łaskawości przyznanej, ale z musu. Można się było wreszcie przyznawać do własnej historii, zając się poziomem nauczania, wprowadzać innowacje niezbędne w tym zaniedbanym i zabitym deskami zakątku Europy. Odżyły też powody do śmiechu, które w porozbiorowej literaturze polskiej (z wyjątkiem bardzo za to zbesztanego Fredry) dostrzegane nie były i ujawniały się rzadko. Zaczęto śmiać się znowu z ludzkich charakterów, absurdalnych sytuacji i drobnych wydarzeń życia codziennego. Satyra polityczna może kiełkować nawet na siarczystym mrozie. Humorystyka wymaga klimatu łagodniejszego. Ten właśnie klimat panuje w encyklopedyjsce Czumy i Mazana. Oczywiście, nie we wszystkich hasłach mógł być obecny. Pamiętajmy, że w końcu był to przecież zabór – z obowiązkowym kultem obcego monarchy, z przymusowym poborem do obcej armii i z przeraźliwą nędzą na wsiach i w małych miasteczkach, zmuszającą do masowej emigracji. Jednak w hasłach mniej przez historię obciążonych obaj autorzy starali się nam stworzyć nastrój

dobrej zabawy. Można czytać ich dziełko strona za stroną, według alfabetu. Ja zaczęłam mniej więcej w połowie, od hasła „Prowincja bez granic”, i okazało się, że był to niezły początek. Mowa tu o Lodomerii, którą w tytulaturze austriackich cesarzy wymieniano zawsze jednym tchem z Galicją. Otóż była to prowincja-widmo. Nikomu nie udało się określić jej granic i wyodrębnić administracyjnie. Prawdopodobnie nawet i sami cesarze nie mieli pojęcia, jaki obszar ta kraina zajmuje. Zresztą nikt by nie śmiał ich o to zapytać – cesarzy o nic pytać nie było wolno. Wolno było tylko odpowiadać na ich pytania. A że i oni nie pytali, Lodomeria przetrwała w swoim dumnym niebycie aż do ostatniej sekundy habsburskiego imperium.

FARAONKA

Joyce Tyldesley

HATSZEPSUT – KOBIETA FARAON

przekład z angielskiego Ewy Witeckiej, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1999



Dawno – niedawno... Zależy, kto to mówi i co ma na uwadze. Dla astronoma „dawno” będzie znaczyć co innego niż dla antropologa, a jeszcze co innego dla kogoś, kto sięga myślą do drugiej wojny światowej. Jeśli sam jej doświadczył, będzie to dla niego wojna wciąż niedawna. Jeśli urodził się po niej – dawna. W tych odczuciach chronologia nie zawsze jest przestrzegana. Dla mnie na przykład historycy średniowieczni wydają się dawniejsi od historyków cesarstwa rzymskiego. A już na pewno Kadłubek od Tacyty. Ale do rzeczy. Królowa Hatszepsut rządziła w Egipcie trzy tysiące lat temu. Jako wdowa po faraonie miała się tylko opiekować jego malutkim synem z innego małżeństwa. Wkrótce zdecydowała inaczej i sama ogłosiła się faraonem – zapewne przy poparciu jakiejś dworskiej koterii. Jednak kobieta faraon była w Egipcie w tamtych czasach nie do przyjęcia. Musiała więc na użytek publiczny zmienić płeć i wszędzie poza sypialnią występować z doczepioną bródką i w męskiej minispódniczce. Wyobraźmy sobie dzisiaj królową angielską, która, żeby wygłosić doroczną mowę w parlamencie, musi przyklejać sobie wąsy i szurać butami nr 49... Jak widać, wyrośliśmy już z takich maskarad i słusznie uważamy, że to, co działo się trzy tysiące lat temu, działo się bardzo dawno. Ale już o innym epizodzie z tamtych czasów tak nie pomyślimy. Jakby zaledwie wczoraj się wydarzył. Niebawem po zgonie Hatszepsut (nie wiadomo, czy naturalnym czy przyspieszonym) przystąpiono z wielką energią do wykreślenia jej osoby ze spisu faraonów. Niszczono kartusze z jej imieniem, wszelkie jej wizerunki w stroju faraona i wszelkie pisemne o niej wzmianki. Skądś my to świetnie znamy. Na wielkich obszarach naszego dwudziestowiecznego świata osoby politycznie niepożądane także z dnia na dzień musiały zniknąć z powszechnej pamięci. Ich nazwiska wylatywały z gazet i encyklopedii, a na zbiorowych fotografiach w ich miejscu wyrastały palmy. Zresztą podejrzewam, że tu i ówdzie nadal tak się dzieje. Żelazną regułą wszystkich

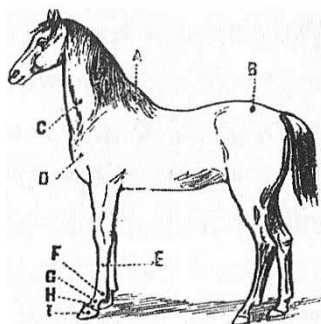
satrapów jest przyszywanie historii wedle doraźnych potrzeb. Na szczęście, rzadko się im to udaje. W wypadku Hatszepsut to i owo przeoczono. Dziś figuruje znowu w spisie faraonów, a egipciolodzy dyskutują tylko, czy była władczynią na poziomie, a jeśli tak, to jakie miała zasługi. Jedną miała na pewno (gdyby poczytać za zasługę, że ktoś kogoś nie zabił, chociaż mógł) – jej pasierb wyżył i okazał się ponoć niezłe przygotowanym do władzy faraonem.

WSZYSTKO W RĘKACH KONIA

Mirosław Bańko i Maria Krajewska SŁOWNIK

WYRAZÓW WĄTPLIWYCH

wyd. II, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1998



Polszczyzna oficjalna to okazałe gmaszysko, do którego wiodą dwa wejścia: szeroka brama od frontu i wąskie drzwiczki od tyłu. Przy drzwiczkach od tyłu kłębi się językowe pospólstwo, te różne nieprawidłowo ukształtowane „póki co”, „tym niemniej”, „co i raz”, „w międzyczasie”, „miejsca siedzące”, „większe lub mniejsze połowy” itd. Ale w progu stoją językoznawcy i przez długie lata bronią wstępu. Przynajmniej do chwili, kiedy spostrzegą, że sami już od dawna tych wyrażen używają. No i dobrze. Gorzej się dzieje przy bramie głównej. Jakoś nikt tam wchodzących nie zatrzymuje. Do wejścia wystarczy uczona toga i metryka zaświadczająca zagraniczne pochodzenie słów. Naturalnie wchodzi tam słowa pilnie potrzebne, bo określają rzeczy i pojęcia nowe, do tej pory w języku nieobecne. I denerwują mnie nie one, ale te, które mają w polszczyźnie całkiem dobre odpowiedniki. Gdyby to jeszcze stanęły sobie obok tamtych w równym rzędku. Nie, one chcą być koniecznie jedyne, i tym samym skazać na niebyt swoich poprzedników. Czyli – zamiast język wzbogacić, zubożają go. Czy Państwo zauważyli, jak w ostatnich latach rozpanoszyło się słowo „relacja”? „Stosunek” już nikomu, kto się oficjalnie wypowiada, nie przejdzie przez usta. Ceny są „relatywnie” niskie lub wysokie, złoty „w relacji” do dolara ma się tak a tak oraz istnieją już tylko „relacje” małżeńskie, do czego co gorliwsi dodają „bilateralne”. A „spektakl”? Znaczy zupełnie to samo co „przedstawienie” albo „widowisko”, ale w publicznych wypowiedziach o teatrze już ich nie usłyszymy. A „homilia”? Znaczy trochę co innego niż „kazanie”, mimo to kazanie idzie już w odstawkę i teraz wszystko, co się głosi z ambony, jest „homilią”... Mogłabym wyliczać długo. Niniejszy słownik zjawisko to zauważa, ale wiele miejsca mu nie poświęca. Zresztą jest ono natury nie tyle gramatycznej, co psychologicznej. Każdy z nas chce być „na czasie”. Nawet przetwórstwo mięsne. W jakimś sklepiku widziałam już „eurokielbasę”, a w innym „promocję wątroby wieprzowej”. Nawet dziedzina mody

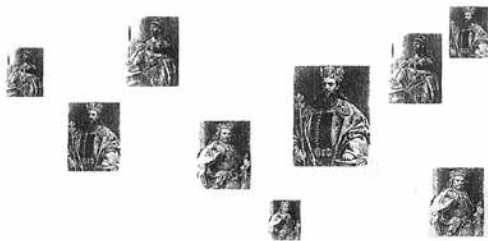
wzdyma się jak gacie na sznurku. Czytałam już o butach „adresowanych” do dzieci i o bluzkach, które muszą „korespondować” ze spódnicą. Dobry Boże, co na to poczta? Przyszanuj jednak, że istnieje dziedzina językowych wybryków, do której mam uczucia tkliwe. To te wszystkie przejęzyczenia i przenośnie, które wymykają się autorom spod kontroli i u czytelników budzą nieoczekiwaną wesołość. W drętwych mediach PRL-u były głównym źródłem humoru. Słuchając radia, to i owo zapisywałam w notesie, ale notes zalał mi się kawą i nie wszystko mogę dziś odczytać. Było tam o „otwarcu pomnika”, o cylindrze pełnym „rozbrojeniowych królików”, o prostytutce uprawianej „od założenia świata” i „hotelach obłożonych gościem”. Ostatnie czytelne zdanie to „zakulisowe jechanie na koniku okrągłego stołu”. Nie pamiętam, czy powiedział je ktoś z lewicy (jeszcze), czy z prawicy (już). Ale ten konik przegrywa z koniem, jaki cwałuje w zdaniu cytowanym przez autorów słownika z jakiejś prasy sportowej: „Bomba poszła w górę i teraz wszystko jest w rękach konia”... Perła. Niechże doda blasku temu felietonowi. Przecież ukaże się w piśmie „o niestety dużej – jak się komuś z ubolewaniem powiedziało – poczytalności”...

DUŻO PIASTÓW

PIASTOWIE

praca zbiorowa, Wydawnictwo

Literackie, Kraków 1999



Ależ płodni i szeroko rozkrzewieni byli ci Piastowie! Przez czterysta lat grali na polskiej scenie role główne i rozliczne epizody. I choć ich linia królewska na Kazimierzu Wielkim wygasła, mieli prawo aż do końca XVII wieku powoływać się na wspólnego przodka, który podobno gdzieś w okolicach Gniezna zaczynał od skromnego kołodziejstwa i Rzepichy. Aż płakać się chce, kiedy dla porównania pomyślimy o Jagiellonach. Zaczynali jako dynastia od razu od państwa wielkiego – nic, tylko rozgałęziać się we wszystkich kierunkach. Tymczasem prześladowało ich fatum jakieś, cierpieli wciąż na niedostatek potomków płci męskiej i już w czwartym, licząc od Jagiełły, pokoleniu wymarli. Na zagranicznych dworach też długo miejsca nie zagrzali. A tutaj – proszę: jedenaście pokoleń Piastów Pierwszych, którzy rozszczepili się potem na Piastów Wielkopolskich, Małopolskich, Kujawskich, Mazowieckich i Śląskich. Ci ostatni pobili rekordy bujności – linia Wrocławska i Legnicko-Brzeska, linia Świdnicko-Ziębicka, Głogowsko-Żagańska, Oleśnicka, Opolska i Cieszyńsko-Oświęcimska... Jednak liczna rodzina to jeszcze nie błogosławieństwo. Przydałoby się, żeby ci wszyscy bracia, stryjowie, wnukowie, kuzyni i powinowaci żyli ze sobą w zgodzie. Tak jednak nie było. Ani u Piastów, ani też w innych książęco-królewskich rodach średniowiecznej Europy. I poza nią też chyba nigdzie. Braterska miłość zazwyczaj przegrywała z chciwością i ambicją. A bogobojność w tych rodach polegała głównie na pokucie za czyny już popełnione. Rzadziej na powstrzymaniu się od ich popełniania. Motywem rodzinnych zatargów były, z grubsza biorąc, działy spadkowe i zawsze przez kogoś z krewnych kwestionowane prawo do korony. Zdradzieckie sojusze, łamane przysięgi, otwarte wojny i skrytobójstwa, wymyślne okrucieństwa... Ale (czy mi się tylko tak wydaje?) Piastowie byli rodem, który wcale w tych ekscesach nie przodował, choć się ich również dopuszczał. Wojny kończyły się przeważnie

pojmaniem rywala i, po wymuszeniu na nim jakichś ustępstw, szybkim wypuszczeniem go z lochu, bez uszczerbku na ciele. W każdym razie w porównaniu z tym, co działo się wtedy na szczytach władzy w Bizancjum, Piastowie wyglądają jak baranki, trochę tylko rozbrykane na zielonej runi. Książka jest pracą popularyzatorską, ale dokładną. Zawiera kilkaset biogramów, krótkich, długich, w zależności od tego, ile faktów o każdym Piaście i Piastównie udało się historykom ustalić. Napisałam „książka”, a powinnam napisać „Księga”. Nawet położyłam ją na wadze kuchennej: waży półtora kilograma. Ludzie poważni, którzy słusznie sądzą, że ocena dzieła według jego ciężaru jest pełnym kretynizmem, proszeni są o nieczytanie poprzedniego zdania.

PRZY SPOSOBNOŚCI

Richard Klein

PAPIEROSY SĄ BOSKIE

przekład z angielskiego Jacka Spólnego, Spółdzielnia

Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1998



Zaintrygował mnie tytuł książki i informacja, że parę lat temu była w Stanach Zjednoczonych bestsellerem. A więc w kraju, gdzie praktycznie przerobiono już palaczy na obywateli drugiej kategorii, bo palić im nigdzie nie wolno – w pracy nie, w miejscach publicznych nie, w żadnych wydzielonych pomieszczeniach nie, bo takich nie ma. Co najwyżej w domu, ale i tam teren jest zaminowany, bo palenie współmałżonka jest niezłym powodem do rozwodu i wysokich alimentów. Ktoś ubiegający się o ważne stanowisko, a przyłapany przez fotografa na paleniu odpada od razu, niezależnie od kwalifikacji... Autor książki jest, jak mniemam, historykiem literatury. Wyławia z niej teksty o paleniu tytoniu, które wyszły spod pióra różnych znamienitych pisarzy. Jego komentarze są jednak nudne i psychoanalityczne aż do śmieszności. Wątpię w „bestsellerskość” tej książki i z przykrością donoszę, że jej nie doczytałam. Ale widzę jednocześnie, że pozostaje mi miejsce i sposobność, żeby coś od siebie o tym nałogu napisać. Będzie jedno wyznanie i dwie prośby. A więc wyznanie: palę, i robię to od dawna. Ubolewam nad tym, bo jest to uzależnienie, czyli częściowa utrata osobistej wolności. Ludzi niepalących szanuję i nigdy bym nikogo do palenia nie namawiała. Kiedy jestem w gościnie, pytam, czy mogę zapalić, i jeśli ktoś z obecnych ciężko w tym momencie westchnie, pozwalam się bez złożeń wyprowadzić do innego pokoju albo do ubikacji, albo na klatkę schodową, albo na balkon, albo do ogródka. Jako osoba wystarczająco dojrzała wiem, że papierosy szkodzą zdrowiu. Napisy na paczkach nie mówią mi nic nowego. Ale gdyby nawet założyć, że tylko palacze umierają na zawały i nowotwory (co prawdą nie jest), to i tak natura ma jeszcze tysiąc innych, równie przykrych pomysłów na wyprowadzanie nas wszystkich z tego świata. Być może niepalącym trochę dłużej na nim przebywać pozwala – ale to wszystko, co da

się na ten temat powiedzieć. A teraz prośba: Drodzy Niepalący! W Waszym zapale perswadowania, ostrzegania i zakazywania nie wymieniajcie jednym tchem nałogu tytoniowego wraz z alkoholizmem i narkomanią. To demagogia. Nie słyszałam jeszcze, żeby ktoś pod wpływem nikotyny rozjeżdżał przechodniów na szosie, a w domu regularnie masakrował żonę i dzieci. Narkomania natomiast polega na odlocie od rzeczywistości. Palacze przeciwnie – oni tę rzeczywistość wspólnie z niepalaczami usiłują tworzyć. Raz lepiej, raz gorzej, ale to już zależy od uzdolnień, możliwości i charakteru, a nie od tego, czy ktoś w pracy pali, czy nie pali. I prośba druga: jeżeli w Waszym towarzystwie znajdzie się czarna owca, czyli palacz, nie róbcie z tego sensacji na cały wieczór i jedynego tematu do rozmowy z nim. Palenie nie jest przecież jego naczelną właściwością. Ma on ponadto jakiś zawód, poglądy, pasje, doświadczenia, obserwacje, a przyszedł do Was, bo interesujecie go nie tylko jako ludzie wolni od nałogu, ale także chyba z innych jeszcze przyczyn. Boję się, że wkrótce może dojść do tego, że jeżeli w Waszym gronie pojawi się facet, który – dajmy na to – doszedł nago do bieguna północnego, skąd wrócił bez żadnych odmrożeń, ale potem niebacznie obnażył się przed Wami w dużo gorszy sposób, bo sięgnął po papierosa, Wasza czujna uwaga skupi się tylko na tym jednym geście. I nie będzie końca pytaniom: czemu pali, od kiedy pali, czy próbował rzucić, i dlaczego jeszcze nie przestaje. Szkoda.

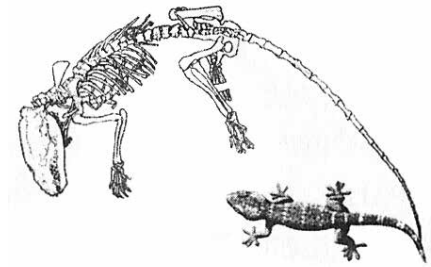
KONIEC ŚWIATA W LICZBIE MNOGIEJ

Andrzej Trepka

GADY, z serii REKORDY ZWIERZĄT

(dużo ilustracji) Wydawnictwo

R.A.F. Scriba, Racibórz 1999



No i znowu zapowiadany koniec świata się nie odbył. Nikt jednak przed P.T. Publicznością nie tłumaczy się z tego i za bilety nie zwraca. Zresztą jak na razie wszystkie końce świata, które naprawdę odbyły się na Ziemi, przychodziły bez zapowiedzi. Na przykład koniec świata dla wielkich gadów nastąpił około siedemdziesięciu milionów lat temu. Ale wcześniej i później były te zwierzęta dziesiątkowane przez inne jeszcze końce świata. Plezjozaury, dajmy na to, wyginęły już sto milionów lat temu. Można by pomyśleć, że ziemskie i kosmiczne moce uwzięły się szczególnie na gady z nadwagą. Nic podobnego – przy najrozmaitszych geoklimatycznych kataklizmach wymierały również mizeraki o wymiarach niepokąźnych. Dość powiedzieć, że z szesnastu gadzich rzędów, o których wie paleontologia, ocalały do naszych czasów tylko cztery. Te, co przemieły bezpowrotnie, nie przemijały zresztą w samotności, ale w towarzystwie jakichś pradawnych płazów, roślin, owadów oraz archaicznych ryb i nieprzeliczonych rodzajów innych istot wodnych. Mam w domu książkę o skamieniałościach – czyta się ją jak wielki zbiorowy nekrolog. Na te wszystkie graptolity, liliowce, pączkowce, liścionogi, staroraki, trylobity, belemnity, amonity, denkowce czy konularie przychodził kres jak nie w kambrze, to w ordowiku, jak nie w sylurze, to w dewonie, jak nie w karbonie, to w permie, a jeśli w jurze, to albo w górnej, albo środkowej, albo dolnej. Również i w trzecio-, i czwartorzędzie natura miała sporo do roboty i z zapałem unicestwiała to, co wcześniej z zapałem tworzyła. Pod koniec czwartorzędu pojawiliśmy się my, czyli ludzie budujący cywilizację. I aniśmy się nie obejrzeni, jak staliśmy się gorliwymi pomocnikami niszczycielskich sił natury. Ale to już inna opowieść, stosowniejsza na jakiś ponury grudniowy dzień. Tymczasem jest jeszcze lato, pogoda panuje piękna, a

pisząca te słowa przebywa na wsi i właśnie wraca z włości po łąkach. Na schodkach domu wygrzewa się w słońcu malusieńka jaszczurka. Zanim jeszcze zdążyłam dobrze się jej przyjrzeć, dostrzegła mnie i błyskawicznym, cudownie zwinnym susem wszyła się w gęstą trawę. Szkoda – miałam ochotę ją zapytać, jakim sposobem potrafiła wyjść cało z tylu już końców świata, a zwłaszcza tych, które zdawały się skierowane specjalnie na nią i jej pobratymców. Wiem, że nie usłyszałabym żadnej odpowiedzi. To by mnie jednak nie zraziło do zadawania dalszych pytań. Oczywiście, gdyby na schodkach wygrzewała się nie jaszczurka, tylko żmija, wołałabym poruszyć interesującą mnie kwestię z pewnej odległości.

TEMAT BEZ PIKANTERII

Laure Adler

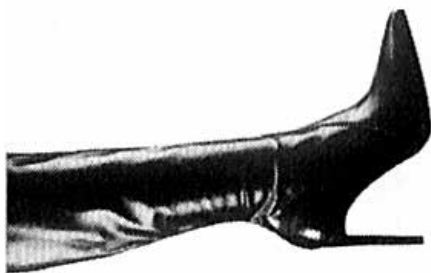
ŻYCIE CODZIENNE W DOMACH

PUBLICZNYCH

przekład z francuskiego Renaty

Wilgosiewicz-Skuteckiej, Wydawnictwo

Moderski i S-ka, Poznań 1999



Nie wiem, czy kiedykolwiek zaniknie zjawisko prostytucji. Historia uczy, że wszelkie usiłowania w tym kierunku nie dawały rezultatu. No owszem, czasem, na krótką metę i tylko w warunkach bezwzględnego terroru. Czytałam gdzieś, że maoiści załadowali wszystkie Szanghajskie prostytutki na statki i zatopili je na pełnym morzu. Jak było w innych miastach, trudno powiedzieć. Strach i donosicielstwo dużo może. Rzecz charakterystyczna: klientów na tych statkach nie było... Ale nawet tam, gdzie nigdy by tak drastycznych środków nie stosowano, zawsze tylko osoby ten żmudny fach uprawiające miano na uwadze. To one były wszystkiemu winne i wobec tego więzione, przeganiane, wzywane do pokuty. Nic nowego tu nie mówię, ale przecież jeszcze dzisiaj hasło „prostytucja” wywołuje w naszym umyśle wyłącznie obraz podaży – bo jaskrawa – podczas gdy popyt i jego organizatorzy pozostają w cieniu. W *Dziejach obłudy*, księdze, którą ktoś może napisze, rozdział poświęcony prostytucji będzie bardzo długi. Z obłudą łączą się zawsze jakieś złudzenia. Na przykład w XIX wieku we Francji (podobnie zresztą jak w całej Europie) wierzono czy raczej udawano wiarę, że domy publiczne to instytucje omalże dobroczynne. Miały one położyć kres gorszącej prostytucji ulicznej i wyswobodzić kobiety z łap sutenerów. Z góry jednak było wiadomo, że bez podaży ulicznej domy w ogóle prosperować by nie mogły – stamtąd przecież rekrutowano lokatorki. Bo żeby mieć zyski i płacić podatki, musiano stale odmładzać personel. Użytkownicy jakoś rzadko gustowali w wysłudze lat... Natomiast sutenerów zastępowały po prostu osoby siedzące przy kasie. Teoretycznie nazywało się, że dziewczęta za swoją pilną pracę mogą po pewnym czasie dociuć się

jakiegoś kapitaliku, zacząć życie od nowa, a może nawet wyjść za mąż. W praktyce zdarzało się to niezmiernie rzadko. Już od pierwszego dnia pensjonariuszki popadały w długi, bo za dach nad głową, legowisko, wikt i ubranie liczone im tyle, że z zarobkami nadążyć nie mogły. Zaczęły te placówki miały również zapobiegać szerzeniu się chorób wenerycznych. Istotnie – dziewczęta były co jakiś czas badane. Chore zamykano w szpitalach lepiących się od brudu. Zdrowym pozwalano pracować aż do następnego terminu, chociaż już w godzinę po badaniu mogły zostać zarażone. Od klientów nie wymagano przecież zaświadczeń zdrowia... Książka Laury Adler pełna jest mało znanych szczegółów. Proszę się jednak nie nastawiać: pikanterii tam nie ma. W zeszłych wiekach przede wszystkim skrajna nędza była nie wysychającym źródłem prostytucji, toteż chichotać tutaj nie ma z czego. Myślę, że dzisiaj, przynajmniej w Europie, takiej nędzy już nie ma. Do prostytucji popychają inne bodźce – lepszy ciuch, lepsza restauracja, no i facet obiecujący złote góry. Zajedzie taki do jakiejś mieściny samochodem na zagranicznej rejestracji, pokręci się trochę, wypatrzy wprawnym okiem którąś nastolatkę (powinna być ładna i niezbyt rozgarnięta), pochwali się przed nią swoimi znajomościami w światowym show-biznesie, gdzie nic, tylko marzą o modelce takiej jak ona. Ale, co najważniejsze: powie, że kocha, i będzie brunetem o aksamitnym spojrzeniu.

JEDZĄ, ALE NIE WIEDZĄ

Susana Osorio-Mrożek

MEKSYK OD KUCHNI – KSIĄŻKA NIEKUCHARSKA

przekład z hiszpańskiego Marii Raczkiewicz,

Wydawnictwo Universitas, Kraków 1999



O kuchni meksykańskiej, ale książka niekucharska? Bardzo dobrze. Książek kucharskich ukazuje się mnóstwo, a nowych przepisów pełno jest w ilustrowanych magazynach. W dodatku pojawia się coraz więcej lokali z egzotycznym jadłospisem. Nie wiem, jak p. Osorio wpadła na pomysł napisania swojej książki. Wyobrażam to sobie tak: weszła do jednej z restauracyjek meksykańskich, zamówiła, spróbowała. Hm. Może nawet wszystko smakowało przepisowo, ale czegoś jej tu było brak. Są składniki, których nie da się w Polsce wyhodować, a i sprowadzić żadnym statkiem czy samolotem nie można. No bo jak przetransportować tamten klimat, tamten krajobraz, tamte gwiazdy? Przyjrzała się gościom przy innych stolikach. No cóż, jedzą, ale nie wiedzą. I wtedy to postanowiła napisać książkę o tym, co potrawom meksykańskim towarzyszy i towarzyszyło od lat. O historii, tradycji, ceremoniałach. A głównie o zespole dawnych wierzeń, wedle których wszystko, co jadalne i pijałne, było darem bogów. Nie tylko kukurydza, kakao, chili, ziarna amarantu, bataty i najprzeróżniejsze owoce. Darem boskim był również alkohol i narkotyki... Notabłom wolno się było upijać do woli, przy każdej okazji i również z braku teje. Lud ciężko pracujący był w tym zakresie dużo mniej uprzywilejowany. Ale co cztery lata następował dzień, w którym wszyscy (nawet dzieci) mogli pić na umór i oddawać się zakazanym breweriom. Bardzo mi to przypomina greckie bachanalia. Z tym tylko, że winorośl owocuje co roku, więc w Grecji co roku się odbywały. A narkotyki? O używaniu ich podczas wystawnych biesiad pisali ze zgorzeniem konkwistadorzy. Gdyby lepiej znali starożytne obyczaje świata, z którego przybyli, gorszyliby się trochę mniej. Bo czymże były przypisywane olimpijskim bogom nektar i ambrozja? Czym dodawali sobie animuszu starożytni wieszczkowie? Podobno z pieczar Pytii i Sybilli buchały jakieś kłęby dymu. Wątpię,

żeby pochodziły z przypalonego mleka. No i wreszcie autorka wspomina o obrzędzie, który u zdobywców budził największą zgrozę: zabijanie ludzi na ofiarę bogom i rytualne zjadanie ich mięsa. Ale i to mamy w swoim dziedzictwie. We wszystkich mitologiach Starego Świata tłuką się echa identycznych praktyk. Różnica tylko w tym, że prekolumbijska ludność Meksyku nie zdążyła jeszcze nabrać do nich odrazy. Jej bogowie przyjmowali na razie ludzkie ofiary łaskawie. Jeszcze nie zawrzeli gniewem, jak na ucztę u Tantala, który domieszał im do potraw ludzkie mięso.

I jeszcze nie zdążył tam dolecieć anioł, który przed wiekami wstrzymał ramię Abrahama wzniesione do ciosu... Było, minęło. Już od pięciuset lat przysmak o wdzięcznej nazwie tlacatlaolli (człowiek gotowany w kukurydzy) nie bywa nigdzie podawany i nawet przepis zaginął. W kukurydzy dusi się tylko mięso zwierząt łownych i hodowlanych. Jednak i to dzisiejszym wegetarianom bardzo się nie podoba. I pewnie mają rację – w Meksyku i wszędzie.

SPÓŹNIONE POŻEGNANIE

Marcello Mastroianni PAMIĘTAM. TAK, PAMIĘTAM...

przekład z włoskiego Magdaleny Gronczewskiej,

Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1999



Zagrał w ponad stu siedemdziesięciu filmach i – jak wszyscy ludzie bardzo zapracowani – za jedną ze swoich głównych wad uważał... lenistwo. Z kinem żyty był od małego. Zaczynał nie od statystowania nawet, ale od przywiązywania wyleniałym filmowym szkapom dodatkowych grzyw i ogonów. Były to czasy Mussoliniego, w kinach dominowały tematy imperialne, przeto konie zaprzężone do kwadryg i rydwanów musiały prezentować się dumnie. Nic z tych filmów chyba nie zostało, i po prawdzie trudno było nawet pomyśleć, że w niedalekiej przyszłości z niektórych statystów, debiutantów, pracowników technicznych, początkujących reżyserów i operatorów coś w ogóle wyrośnie. No i raptem wyrosło, wybuchło i filmem światowym zatrzęsło. „Włoski neorealizm” – tak się to nazywa, choć dotyczy tylko pierwszych lat zjawiska. Wkrótce drogi reżyserów się rozeszły, ale impet twórczy trwał i jeszcze przez długie lata produkował dzieła zadziwiające. Żeby ten cud się wydarzył, musiały przedtem zajść pewne fakty. Musiał skończyć się faszyzm, musiała dobiec kresu upokarzająca dla narodu wojna i musiały wszystkie rozpedzone rydwany powywracać się do rowu. Ale to jeszcze niczego do końca nie tłumaczy. Wiele krajów przeszło przez to samo, a przecież taki nagły wysyp talentów w nich się nie przydarzył. Rossellini, Germi, De Santis, De Sica, Visconti, Zeffirelli, Pasolini, Antonioni i wreszcie Bertolucci. Zasłużeni, wybitni, wielcy. Oraz Fellini, który podobnie jak Chaplin żadnych już określeń nie potrzebuje. To właśnie z jego filmami kojarzymy początki aktorskiej kariery Mastroianniego. Słusznie, z tą tylko poprawką, że to nie on odkrył u aktora jego właściwe predyspozycje. Zrobił to Visconti, angażując go do teatru i obsadzając w sztukach Czechowa. Można powiedzieć, że w tym momencie Mastroianni narodził się ponownie – tym razem w wersji ostatecznej. Skończyli się prymitywni amanci, których przedtem grywał. Pojawiły się postacie ludzi zagubionych, zaskoczonych nagłymi obrotami losu. Postacie, którym

mechanizm życia z niejasnych powodów nagle się zacina, zaczyna zgrzytać i rozpadać się na kawałki nie do pozbierania... Potrafił być żaloszny i komiczny jednocześnie, a w miarę upływu lat umiał jak mało kto ukazać smutek i zamęt starości. Naturalnie wraz ze zmianą aktorskiej skóry skończyła się łatwa popularność i przypuszczam, że listy od egzaltowanych wielbicielek mocno się przerzedziły. Takie listy pisze się do filmowych amantów, którym się wszystko udaje. (Kretyńska myśl: Mastroianni w roli Bonda. Byłaby to najgorsza kłapa albo najśmieszniejszy film sezonu...) Wspomnienia Mastroianniego w niczym mnie nie rozczarowały, przeciwnie, ugruntowały jeszcze moją do niego sympatię. Nikomu nie dokopuje, z nikim się nie rozlicza, anielskich skrzydeł sobie nie dokleja i skandalicznych wyznań unika. Panuje przekonanie, że takie wspomnienia nie będą się dobrze sprzedawać. Ja jednak wierzę w czytelnika, który oczekuje od autora czegoś więcej: zadumy nad życiem, które mu było dane. A to u Mastroianniego jest.

TAJEMNICE REGIONÓW

Antoni Kroh

SKLEP POTRZEB KULTURALNYCH

Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1999



Antoni Kroh jest etnografem, ale sporo lat wcześniej – co nie tylko etnografom się przydarza – był małym chłopcem. Chłopiec urodził się wprawdzie w Warszawie, jednak przez pierwsze lata nauki mieszkał w Bukowinie Tatrzańskiej, gdzie chodził do miejscowej szkoły. Były to czasy Bieruta, w szkole panowała programowa nuda i szarzyzna. Ale dobrego pisarza poznaje się m.in. po tym, że nawet o szarzyźnie pisze kolorowo. Toteż książka roi się od ucieśnych opowiadań i postaci podpatrzonych bystrym okiem dziecka. W miarę czytania anegdota trochę rzadną i do głosu dochodzi etnograf, który podhalańskie tereny zna od dawna i dobrze. Wraz z ich historią prawdziwą i zmyśloną. Mity wokół góralszczyzny biorą początek w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego stulecia, kiedy to Podhale i Tatry „odkryto” i z entuzjazmem zaczęto lansować. Fizyczny typ górala wydawał się wyjątkowo foremny, jego duchowość nie skażona pańszczyzną, prostota jego życia godna naśladowania... Tymczasem na tej kamienistej ziemi panowała od wieków nędza, a nędza nie jest wylęgarnią piękności. Inteligenci z nizin podczas wypraw w wysokie góry mieli do czynienia z przewodnikami, a tych wybierano starannie. Musieli być to mężczyźni młodzi, zdrowi i na tyle silni, żeby nosić kufry z żywnością, a przy przechodzeniu potoków brać na barana popiskujące damy w gorsetach. Potem sylwetkę rosłego i zwinnego górala (koniecznie z orlim profilem) rozpropagował przemysł pamiątkarski. Dzisiaj jednak, kto by wyruszył na poszukiwanie orlego nosa, musiałby się dobrze na Podhalu uchodzić... Mit niepodległego ducha ma także swoje ale. Na królewskiej stronie, czyli ziemiach pod zwierzchnictwem króla, rządził nie on sam we własnej łaskawej osobie, tylko jego urzędnicy, których uczciwość kontrolowana była rzadko. Ponadto tu i ówdzie rozrastały się majątki ziemskie, gdzie pańszczyzna odchodziła, aż w krzyżach trzeszczało... No i wreszcie ta prostota życia. Nie brała się przecież z wyboru, ale

z biedy, a bieda, jak wiadomo, stwarza przymus ograniczania potrzeb do minimum. Jednak właśnie to minimum początkowo turystów zachwycało. Ujrzeni w nim jakimś cudem zachowany wzorzec życia naszych przodków, jakąś rdzenność i prapolskość odporną na obce wpływy. Tymczasem kultura tylko wtedy jest twórcza i żywa, kiedy wykazuje umiejętność przyswajania sobie różnych różności. Najbogatszym dziedzictwem kulturalnym Podhala jest Spisz, gdzie krzyżowały się handlowe trakty i ludność rozmaitego pochodzenia potrafiła ze sobą współżyć. Piękno tego regionu jest dziełem zarówno Polaków, jak i Słowaków, Węgrów, Żydów, Austriaków, Rusinów, Cyganów. Wszelkie zajadłe dociekania, kto tu pierwszy, kto ostatni, kto lepszy, kto gorszy, nie mają dla przyszłości żadnego już pozytywnego sensu. Autor wiele uwagi tym sprawom poświęca. Ale czy tylko o Spisz mu chodzi, region obecnie stosunkowo spokojny? Jestem pewna, że nie. Europa jest kontynentem małym i w dodatku na małe państwa podzielonym. Można powiedzieć, że co krok to jakieś pogranicze. Taka już jest tej naszej Europy specyfika, taka jej niepowtarzalna uroda. Niestety, z doświadczeń mijającego właśnie wieku wiemy, jak łatwo tę urodę sponiewierać. Płwocinami demagogów, gwałtami nacjonalistów...

DUŻO PYTAŃ

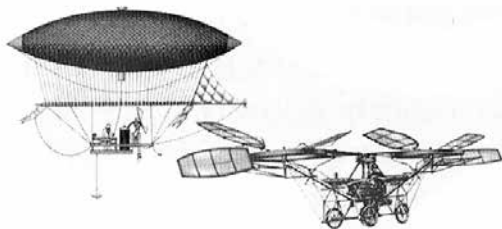
Herbert R. Lottman

JULIUSZ VERNE

przekład z francuskiego Jacka

Giszczaka, Państwowy Instytut

Wydawniczy, Warszawa 1999



Czy ktoś, kto napisał osiemdziesiąt powieści fantastyczno-przygodowych, i to począwszy dopiero od trzydziestego piątego roku życia; ktoś, kto stworzył setki postaci, z których bodaj kilkadziesiąt obdarzył osobowością wyrazistą, a dwie udało mu się nawet umieścić na Olimpie literackiej mitologii (mam na myśli tajemniczego kapitana Nemo i czarującego Fileasa Fogga); ktoś, kto w każdej wolnej chwili czytał stosy raportów podróżniczych i śledził na bieżąco wszelkie nowinki techniczne – no więc, czy ktoś taki miał jeszcze czas na pielęgnowanie uczuć osobistych: sympatii, przyjaźni, miłości? Na to pytanie biografia Juliusza Verne’a pozytywnej odpowiedzi nie daje. A mówiąc wprost: w swoim straszliwym zapracowaniu Verne był osobnikiem odpychającym, bezwzględny egoista, tyranem domowym i może nawet uczuciowym kaleką. Kiedy umarł, opłakiwało go kilka pokoleń czytelników na całym świecie, natomiast w Amiens, gdzie mieszkał, nikt po nim szczerzej łezki nie uronił. Rodzina odetchnęła, a obywatele miasta, skądinąd zamożnego, nie kwapili się ze zrzutką na skromny bodaj pomniczek... Jego korespondencja nie mówi o nim rzeczy miłych. Do ojca pisał z szacunkiem, ale trudno się pozbyć podejrzeń, że był to szacunek nie tyle do osoby, ile do jej portfela. Bardziej bezinteresowne wydają się listy do matki, której się zwierzał. Ale z czego – z młodzieńczych tęsknot, pierwszych porywów serca? Skądże. Często wał nobliwą damę relacjami z nękających go ciągle gastrycznych przypadłości i malowniczymi opisami stolca. Kiedy nadszedł czas, że wypadało się w kimś „zakochać” i ożenić, jedynym walorem przyszłej małżonki, godnym omówienia, był dla niego jej majątek. Może najwięcej ludzkiej serdeczności wykazują listy do brata. Niestety, list ostatni, będący reakcją na wiadomość o śmierci tego bądź co bądź najbliższego

towarzysza młodości, psuje to wrażenie. W kondolencjach do osierconego bratanka tylko dwa pierwsze zdania wyrażają smutek z powodu straty. Reszta to uzalanie się nad własnym słabym zdrowiem, co w tych okolicznościach taktowne chyba nie było. Ale najgorzej wyglądały stosunki pisarza z własnym synem. Potomek najwyraźniej nie przypadł mu do gustu. Verne, kiedy tylko mógł, trzymał go z dala od siebie. Wreszcie piętnastolatka umieścił własnym staraniem w okropnym domu poprawczym, a po roku siłą, jak galernika, załadował na statek, który odpływał na drugi koniec świata. Dokładnie nie wiadomo, czym ten małolat zawinił. Jeśli jednak zawinił, to i tak główną przyczyną był sam tatuś, który po prostu niczym tatusiem być nie powinien... Uff... Czy nie dosyć już tego lustrowania?

I czy cokolwiek nam ono wyjaśnia? Na przykład, w jaki sposób ten zimny ponurak potrafił w swoich książkach wzruszać i rozśmieszać? Albo jakim cudem ten zatwardziały w życiu prywatnym konserwatysta (i szowinista na dodatek) stał się piewczą niestrudzonej ludzkiej inwencji i pięknie opisywał przyjaźń między przedstawicielami rozmaitych nacji? No i wreszcie, jak się to zdażyć mogło, że ten złowrogi ojciec uznany został w swoim czasie za najpopularniejszego i najbardziej lubianego autora dla młodzieży? Jak widać lustracja lustracją, a tajemnica tajemnicą pozostaje...

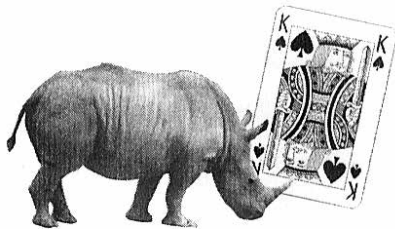
FORTEPIANY I NOSOROŻCE

Vivian Green

SZALEŃSTWO KRÓLÓW

przekład z angielskiego Tomasza Lema,

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000



Granica między zdrowiem a psychiczną chorobą jest niewyraźna i w każdej epoce inaczej przebiega. Nie tylko psychiatrzy, ale i historycy mają kłopot z jej wyznaczeniem. Owszem, wiadomo, jak objawiają się psychiczne choroby w swoich formach ekstremalnych. Ale przecież wiadomo także, że istnieją stany pośrednie, o rozmaitym natężeniu, trudniejsze do zdiagnozowania. Bo i od czego zacząć? Należałoby wprawdzie określić, co to jest psychiczne zdrowie i czy w ogóle zdarzają się ludzie pod tym względem całkiem „w porządku”. Nie sądzę, żeby się zdarzali. Trzeba jednak koniecznie dodać, że ich odchylenia bardzo rzadko kończą się ewidentnym obłędem. Można tylko mówić o grupach zawodowych zwiększonego ryzyka. Są takie dwie: artyści i władcy. Jeśli jednak obłęd artystów może czasem zaowocować wielkimi dziełami, obłęd władców nie przynosi ze sobą nic oprócz kryzysów i nieszczęść. Niektórych królów szaleńców nawet mi żal. Może by złapali jaką taką równowagę, zmieniając zawczasu miejsce pracy. Na przykład taki Henryk VI angielski. Sprawy państwowe go przerażały. Popadał w długotrwałe okresy osłupienia, nie pamiętał, kim jest, gdzie jest i nic do niego nie docierało. Gdyby był tylko właścicielem ogródka warzywnego, byłby może szczęśliwszy, on i jego państwo... Żal mi też Ludwika II Bawarskiego, który żadnego drygu do rządzenia nie miał. Wołał świat własnych, bardzo kosztownych iluzji i coraz głębiej się w nim zanurzał. Gdyby się urodził w jakiejś średnio zamożnej rodzinie, zostałby może architektem projektującym dla przemysłowców pretensjonalne pałace, a w wolnych chwilach słuchał muzyki. Żeby było dziwniej, kiedy utonął w jeziorze w okolicznościach podejrzanych, na tron wywleczono jego brata, już od dawna niespełna rozumu. Obciążeniami dziedzicznymi przez całe wieki się nie przejmowano. Wszystkie większe dynastie były ze sobą spokrewnione, na porządku dziennym

zdarzały się małżeństwa między kuzynami pierwszego stopnia. Oprócz tego wujowie i stryjowie żenili się z siostrzenicami i bratanicami, a z kolei potomstwo tych związków ponownie między sobą. Dziadek ww. Henryka był regularnym schizofrenikiem, a ciotką ww. Ludwika osoba, której się zdawało, że połknęła fortepian. Wspomnę jeszcze o don Carlosie, nieszczęsnej ofierze dynastycznych krzyżówek. Uwiecznił go później Schiller w postaci pięknego, miłującego wolność księcia... W rzeczywistości infant był fizycznym i psychicznym degeneratem, furiatem i sadystą, który lubił przyglądać się nagim dziewczętom chłostanym różgami, a ludzi, co go czymś zirytowali, własnoręcznie wypychać na tamten świat – najchętniej przez okno. Szewca, kiedy mu przyniósł ciasne buty, przymusił do zjedzenia tychże. Wątpliwe, czy gdyby zdążył zostać królem, okazałby się raptem władcą rozumnym. Ale obłęd dziedziczny to jeszcze nie taka klęska jak obłęd zaraźliwy. Z takim właśnie ludzkość miała do czynienia w naszym wieku XX, w Europie, Azji, Afryce. Już nie królowie byli jego nosicielami, ale dyktatorzy – a władza dyktatorska stwarza wyjątkowo korzystne warunki do rozwoju niepoczytalności. Którą, od dyktatorów, zarażają się całe narody. Chyba najlepiej opisał taką epidemię Ionesco w *Nosorożcu*. Szkoda, że tak rzadko się tę sztukę grywa, a jeśli grywa, to nie tam, gdzie najbardziej byłaby jeszcze potrzebna.

WSPINACZKA

Amir D. Aczel

WIELKIE TWIERDZENIE FERMATA

przekład z angielskiego Pawła Strzeleckiego,

Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1998



Jestem matematycznym tumanem – po co więc sięgnęłam po książkę, której głównym wątkiem są jakieś niepojęte dla mnie wzory, wykresy, tabele? Powody są dwa. Pierwszy: ponieważ te tajemnicze spekulacje mają swoich bohaterów i o ich losach warto tu sobie poczytać. Naczelnym bohaterem jest oczywiście tytułowy Piotr de Fermat, francuski matematyk z XVII w., autor kilku pionierskich prac. Ale o nich mało kto by pamiętał. Sławę zapewniło mu pewne twierdzenie znalezione w notatkach. Była w nich sugestia, że to swoje twierdzenie udowodnił. Niestety, dowodu na to nie znaleziono. Dzisiaj uważa się za prawie pewne, że Fermat uporać się z zagadnieniem nie zdołał. Matematyka musiała jeszcze od jego czasu poczynić kilkadziesiąt kroków drobnych i kilka milowych. Żmudna to była wędrówka i trwała przez ponad trzy i pół wieku. Zdarzały się na jej drodze wszystkie możliwe ludzkie dramaty, wynikające z przedwczesnych triumfów, zawiedzionych nadziei, rywalizacji nie zawsze uczciwej. Doszło nawet do jednego pojedynku i jednego samobójstwa. Ale była to też okazja do pięknej koleżeńskej współpracy, pomocy bezinteresownej, rewelacyjnej pomysłowości i wytrwałości godnej podziwu. Najtęższe umysły próbowały mocować się z tą łamigłówką. Tylko genialny Gauss po dwóch tygodniach zrezygnował. Pojął szybko, że dowód tego twierdzenia wymaga nieznanych jak dotąd podejść i gdyby sam chciał je po kolei wymyślać i sprawdzać, musiałby żyć jeszcze dwieście lat i niczym innym się już nie zajmować. A żył i tak stosunkowo długo, bo lat siedemdziesiąt osiem, z czego siedemdziesiąt pięć w służbie matematyki. Nie, nie, to nie pomyłka drukarska – Gauss wkroczył do królestwa liczb jako trzyletnie, wstrząsająco bystre pachołę... I powód drugi, dla którego książkę kupiłam. Kilka miesięcy wcześniej obejrzałam program na kanale Planete, gdzie zobaczyłam Anglika nazwiskiem Andrew Viles, który w roku

1995 problem Fermata nareszcie rozwiązał. W sumie pracował nad nim osiem lat, z czego siedem w tajemnicy. Kiedy uznał, że już mu się udało, rozesłał swoje wyniki do wszystkich liczących się matematycznych ośrodków. Niestety, odkryto w nich malutkie przeoczenie, a tym samym cała budowla rozsypała się jak domek z kart... Ktoś inny by się załamał, ale prof. Viles – nie. Przepracował jeszcze rok z maniakalną zawziętością i w kompletnej izolacji od spraw świata tego. No i tym razem w nagłym momencie olśnienia mógł zakrzyknąć: Eureka! Patrzyłam na niego zafascynowana. Mimo ukończonej czterdziestki wyglądał jak uczeń, który, wyrwany do tablicy, nie bardzo wie, czy dwa i dwa to cztery. Żony jego nie pokazano, ale to z pewnością ona zawiązała mu krawat i sznurowadła przy butach. Jest osobą bez wątpienia pogodzoną z faktami, która wie, że gdyby choć na jeden dzień wyjechała z domu, jej mąż zacznie wydzwaniać po znajomych z prośbą o informację, jak się gotuje wodę na herbatę i jakie naczynia są do tego potrzebne. Jeżeli kogoś zachęciłam do kupna tej książki, proszę tylko o jedno: niech nie pyta, po co ta cała kilkuwiekowa wspinaczka. Matematykom i górolazom takich pytań się nie zadaje.

ODMRÓWCZYĆ

Jean C. Cooper

ZWIERZĘTA SYMBOLICZNE I MITYCZNE

przekład z angielskiego Anny i Leszka Rysiów,

Dom Wydawniczy Rebis, Warszawa 1998



Jak świat szeroki i długi nie istnieje mitologia, gdzie by nie było zwierząt – rzeczywistych i zmyślonych. W zamierzonych czasach obsadzano je na różnych stanowiskach i w różnych rolach: bogów, półbogów albo ziemskich rezydentów wyposażonych w niezemskie kompetencje. Bardzo często obejmowały posady nauczycieli i wdrażały ludzkość we wszystkie umiejętności i wynalazki. Wydawało się, że księgi mitów zostały zamknięte, a zwierzęta są już tylko przedmiotem świeckich zamięłowań i obserwacji naukowej. Skądże znowu. Mitotwórcza siła naszej wyobraźni wcale nie wygasła. Widać to po niezliczonych powieściach i filmach o podróżach w kosmosie. Znowu roi się tam od istot zwierzo- lub człekopodobnych o zdumiewających możliwościach. I znowu szczególnym powodzeniem (zwłaszcza u fantastów z kręgu Danikena) cieszą się kosmici jako nauczyciele. Podobno bez ich wizyt na Ziemi nierozgarnięta ludzkość nigdy by do niczego o własnych siłach nie doszła... Ale i dawne mity wcale nie zamilkły. Słychać ich echo w bajkach, podaniach, porównaniach, przysłowiach. O ileż uboższa i mniej malownicza byłaby bez nich nasza frazeologia! Nawet ktoś, kto dobrze wie, że zawarta w nich wiedza o zwierzętach bywa czasem irytująco nietrafna, nadal będzie mówił na przykład „głupia gęś”, choć zdaje sobie sprawę, że gęś jest całkiem mądra na swój sposób, już choćby dlatego, że jako gatunek dotąd nie wyginęła. Ktoś inny powie o kimś „łże jak pies”, chociaż pies kłamać nie potrafi, przeciwnie, mówi prawdę i tylko prawdę na wszystkie dostępne mu sposoby – głosem, spojrzeniem, sierścią, łapami, a na dodatek wyspecjalizowanym u niego organem szczerości, czyli ogonem... Albo ktoś, chcąc kogoś pochwalić, powie „pracowity jak mrówka”. Tutaj jednak powinien się ugryźć w język. Działalność mrówki nie jest żadną cnotą – jest automatyczną potwornością, do której z góry została zaprogramowana.

Mrowisko to skrycie pielęgnowane marzenie wszystkich dyktatorów, niedościgły ideał sprawnie rządzonego państwa. Oczywiście szanujmy mrówki, nie róbmy im nic złego, ale nasz język i wyobraźnię powinniśmy raz na zawsze odmrówczyć. Książkę Coopera, swoisty leksykon zwierząt, trzeba wstawić na półkę i mieć, bo wiadomości w niej dużo. Dużo – jednak od poważnego opracowania wymagałoby się więcej. Na przykład: autor o wierzeniach Słowiańszczyzny wie tyle, co kot napłakał, i nawet się z tego nie tłumaczy. Ale ileż ja się już takich opracowań naczytałam, gdzie za Odrą, za Nysą ziele czarna dziura, jakby nigdy nic się u nas nie działo i nigdy niczego nie było. W omawianym przypadku zwierząt także.

KORONKOWE CHUSTECZKI

Grażyna Stachówna

STO MELODRAMATÓW

Wydawnictwo Rabid, Kraków 2000



„Melodramat” nie jest dla mnie określeniem neutralnym, takim jak na przykład „western”, „film grozy”, „film kryminalny” itp. Już z końcem XIX wieku zaczęto tak nazywać dramaty miłosne o wątpliwej artystycznej wartości, obliczane na wzruszenie mało wymagającej widowni. I w takim znaczeniu używam tego słowa do dzisiaj. Możliwe, że jestem do tyłu, ja i jeszcze pewna liczba osób. Autorka już tego tak nie odczuwa i nazywa melodramatem każdy film o miłości, niezależnie od tego, czy to szmira, czy arcydzieło. Trudno komuś narzucać własne odczucia, więc muszę się z tym pogodzić. Wolałabym jednak, żeby we wstępie do swoich stu wybranych i streszczonych filmów autorka zaznaczyła wyraźnie, że na przykład *Spotkanie Davida Leana* z 1945 r. nie ma już nic wspólnego z rozmaitymi „Blond Venusami”, a *Pożegnanie z Afryką* jest czymś genetycznie wprost odmiennym od na przykład *Trędowatej*. Wolałabym też, żeby filmy zostały ułożone w porządku chronologicznym. Coś by z tego mogło wyniknąć. Z układu alfabetycznego na pewno nic. Ale czy to w sumie oznacza, że melodramatów nie lubię? Ależ lubię bardzo, a im dawniejsze filmisko, tym bardziej. Tyle tylko, że wzrusza mnie i interesuje nie to akurat, co sobie zamierzili dawni scenarzyści, reżyserzy, aktorzy. Wzruszam się, kiedy patrzę na pięknych ludzi, którzy już dawno nie żyją – nie żyją, a jednak ciągle odrobinę są. Tańczą walca, patrząc sobie głęboko w oczy, biegną przez łąkę usianą kwiatami. I będą tak robić, dopóki ostatnia taśma się nie zawieruszy... Fabuła interesuje mnie mało, reaguję za to na niezmiennie jej detale. Bohaterka kładzie się spać zawsze w pełnym makijażu i z tymże, nie rozmazanym, się budzi. Jej dzień wypełniony jest zajęciami – czyta bileciki i układa kwiaty w wazonie. A kiedy przychodzi pora na poważną rozmowę z mężem czy kochankiem, zawsze siada przed lustrem i szczotkuje włosy. Dobrze jest, jeśli pierwszy pocałunek następuje dopiero pod koniec filmu. Jeśli dochodzi do niego na początku, biada. Zawsze wtedy, z

regularnością kukułki na starym zegarze, wyskoczy ktoś, komu się ten pocałunek bardzo nie spodoba. Kiedy kobieta oświadcza ukochanemu, że zostanie ojcem, mężczyzna przyjmuje tę wiadomość z tak niebywałym zdumieniem, jakby nikt go wcześniej nie uprzedził, skąd się biorą dzieci. Czasem bohaterka popada w nędzę i ślania się z głodu – jednakże za nic na świecie nie będzie się ślaniać przez choćby dwa dni z rzędu w tej samej sukni. No i, niestety, niekiedy choruje i umiera. Ale i choroba zawsze jest twarzowa. Piękne gwiazdy sprawiają więc wrażenie, jakby konały sobie w pełnym zdrowiu. Mężczyźni unikają raczej chorób organicznych. Najczęściej są wnoszeni do pałacu lub chaty z ranami kłutymi lub postrzałowymi. Wówczas ich ukochane z anielskim uśmiechem ocierają im pot z czoła koronkową chusteczką. Innych zabiegów terapeutycznych w melodramatach się nie stosuje. No i jeszcze te anonimowe listy. Anonimom należy natychmiast i bezwzględnie uwierzyć i jak najdłużej nie dopuszczać do jakichkolwiek wyjaśnień. W przeciwnym razie film trwałby dużo krócej, a widzowie musieliby przedwcześnie wracać do domu. A przedwczesne powroty do domu zarówno w melodramatach, jak i w życiu prawdziwym mogą się okazać ryzykowne.

DYMKI

Jerzy Szyłak KOMIKS

Wydawnictwo Znak, Kraków 2000



Do komiksów nie mam szczególnego zamiłowania. Pewnie dlatego, że w moim dzieciństwie nie były jeszcze popularne. Byłam więc skazana na żmudne i czasochłonne czytanie książeczek. Znosiłam tę dolegliwość bez przykrości i nawet bez uczucia, że czegoś cennego jestem w ten sposób pozbawiona. I to mi już na całe życie zostało. Później, oczywiście, od czasu do czasu jakiś komiks wpadał mi w oko, ale tylko dwa zrobiły na mnie wrażenie. O tym jednak później. Na razie kilka słów o pracy Jerzego Szyłaka. Chyba pierwszy w Polsce potraktował komiks naukowo. Przedstawił go – i słusznie – jako znamienne zjawisko kultury masowej, i to zjawisko o wcale bogatej historii. Szkoda tylko, że zatrzymał się na XIX wieku i nie zanurkował w głębsze odmięty czasu. Bo czymże, jak nie raczkującym komiksem, było kiedyś pismo obrazkowe? A później – kościelne serie rzeźb i malowideł przedstawiających wydarzenia biblijne w ich chronologicznym przebiegu? No, ale dobrze, niech będzie już tylko wiek XIX i jego historyjki obrazkowe, z których komiks wywodzi się bezpośrednio. Nie jest jednak z nimi identyczny. Żeby powstał prawdziwy komiks, musiały pojawić się dymki, a podpisy pod obrazkami albo zniknąć, albo ulec radykalnemu ograniczeniu. Kto, kiedy i gdzie te dymki wymyślił, szperacze jeszcze nie ustalili. W każdym razie to właśnie te dymki decydują o odmiennej poetyce komiksu. I tak na przykład *Przygody Koziołka Matołka* komiksem jeszcze nie są. Pod każdym obrazkiem mamy wierszowany tekst i gdyby te wierszyki wydrukować oddzielnie, akcja w dalszym ciągu byłaby zrozumiała. W komiksie natomiast wszelkie historyjki wyglądałyby mniej więcej tak: „Psst! Wzgrrrdb! Booom! Trrrach! Grruch! Yyyyyy? Uuuuu... Aaaaaa!!!”, a na końcu jakieś jedno zdanie rozwinięte: „Melduję, szefie, że rozkaz został wykonany”. Teraz mogę już wrócić do moich dwóch ulubionych komiksów. Jeden wyszedł spod ręki Andrzeja Mleczki – dla jego Sanitariusza kupowałam co tydzień „Szpilki”. Drugi pochodził z czasów jeszcze wcześniejszych. Opodał domu, gdzie mieszkałam, prosperował

miły, stary szewc. Trudnił się drobnymi naprawami, żelował, przyszywał, podkuwał, a czasem na specjalnym kopycie rozciągał buty, które piły. Dość szybko musiał się chyba zorientować, że nie tylko buty potrafią pić, ale również ich właściciele. Został więc działaczem antyalkoholowym i cały swój lokalik wykleił plakatami nawołującymi do trzeźwości. Jeden zapamiętałam. Składał się z kilku niemych obrazków – miały mówić same za siebie. Mój szewc uznał jednak, że to nie wystarcza, i wszystkie postacie zaopatrzył w dymki. Tak więc ojciec rodziny wychodzący z domu rzecze: „Do widzenia, żono. Idę do roboty”, na co żona: „Będę czekała z obiadem”, a dzieci chórem: „Pa! Pa! Kochany tato!” Obrazek drugi: nasz bohater spotyka znajomego: „Czołem, kolego z wojska”, „Kopę lat!”, „Trzeba to oblać!” W scenie pijaństwa mamy już wielkie zadymienie: „No to siup!”, „W ten głupi dziób!”, „Hi, hi, hi!”, „Panie starszy, jeszcze raz to samo”, „Ha, ha, ha!” Na kolejnym obrazku tragedia: mężczyzna wytacza się z knajpy wprost pod nadjeżdżający tramwaj. Tutaj szewc uznał, że bez dymków się obejdzie. No i wreszcie epilog. W drzwiach stoi ojciec rodziny o kulach, bez jednej nogi. Dzieci płaczą, żona załamuje ręce, a z jej ust wyrzywa się dymek: „I zawsze będzie czegoś ci brak”... No cóż, minęło już sporo lat, a ja wciąż pamiętam tego szewca i jego spontaniczną twórczość. Pewnie już od dawna przebywa w zasłużonym Niebie. Martwię się tylko, czy nie dokuczają mu beczynność. Otaczają go przecież skrzydlaci (a więc nie zdzierający butów) abstynenci...

DZIESIĘĆ MINUT SAMOTNOŚCI

Sandi Mann

JAK W PRACY UKRYWAĆ TO, CO CZUJEMY,

I UDAWAĆ TO, CO CZUĆ POWINIŃMY

przekład z angielskiego Hanny Wrzosek,

Wydawnictwo Amber, Warszawa 1999



Książka jest owocem kilkuletnich socjologicznych badań nad życiem emocjonalnym pracowników, zwłaszcza tych, którzy stale mają do czynienia z ludźmi na zewnątrz: klientami, interesantami, pasażerami itp. Powstała na Zachodzie, toteż opisuje tamtejsze stosunki, które jednak u nas zaczynają się podobnie układać. Po jej przeczytaniu doszłam do paradoksalnego wniosku, że w PRL-u niektórym pracownikom żyło się dużo łatwiej. Nie musieli niczego udawać. Nie musieli być uprzejmi, jeśli nie mieli na to ochoty. Nie musieli tłumić w sobie zmęczenia, znudzenia, irytacji. Nie musieli ukrywać, że cudze sprawy nic ich nie obchodzą. Nie musieli udawać, że nie łupie ich w krzyżu, kiedy rzeczywiście łupało ich w krzyżu. Jeżeli pracowali w sklepie, nie musieli klienta zachęcać i reklamować mu towaru, bo ten rozchodził się szybciej niż czekająca po niego kolejka. Co więcej, pracownik uśmiechnięty nie był wcale wyżej ceniony od ponurego. Pracodawcy ponurego nawet woleli, wydawał im się bardziej odpowiedzialny, podczas gdy uśmiechnięty kojarzył im się zaraz z jakimiś kombinacjami na boku. Żeby było jeszcze smutniej, społeczeństwo zaczynało się do tego stanu rzeczy przyzwyczajać. Pamiętam swoją konsternację i popłoch, kiedy, będąc pierwszy raz na Zachodzie, przystanęłam na kilka minut przed wystawą któregoś pięknego sklepu. Natychmiast zostałam przez sprzedawców wypatrzona i wciągnięta do środka. Chociaż dobrze wiedzieli, że chyba nie kupię futra z białych lisów – co najwyżej najtańszą chusteczkę do nosa... Dużo lepszą anegdotę przytacza sama autorka. Kiedy w Moskwie otwarto pierwszą restaurację McDonalda, klienci zobaczyli zwijający się jak w ukropie, uśmiechnięty personel. Zareagowali nieufnością: z czego oni się tak śmieją? Z nas?... Gdyby nawet książka Sandi Mann powstała wcześniej, to i tak nie mogłaby się w

tamtych czasach u nas ukazać. Wcale nie dlatego, że cenzor dopatrzyłby się w niej perfidnie ukrytej pochwały kapitalizmu, bo tej akurat wcale tam nie ma. Zawahaliby się wydawcy. Bo kogo mógłby zainteresować tak egzotyczny obiekt badań jak osobnik zdolny nie tylko do pracy, ale i do ukrywania swoich prywatnych humorów... Naturalnie taki bezustanny kamuflaż musi powodować różne stresy, a stresy z kolei wymagają jakiegoś odreagowania. Łatwe to nie jest. Pole obserwacji zakresliła sobie autorka szeroko, ale rady znalazły się na wąskim marginesie. Jakieś wdechy, wydechy. Jakaś chwilowa rotacja na stanowiskach pracy. Jakieś czasem korzystanie z zaplecza, żeby wytupać z siebie złość. Najmniej, bo jedno zdanie, poświęca autorka lekarstwu bodaj najskuteczniejszemu: przebywaniu jakiś czas w zupełnej samotności. Proponuje na to dziesięć minut. Czy to aby nie za mało? A tak na marginesie: samotność to bardzo dobra rzecz i każdy człowiek żyjący w wielkomiejskim kieracie koniecznie jej potrzebuje. Natomiast złą rzeczą jest osamotnienie. Kiedy wreszcie zaczniemy dostrzegać różnicę między tymi pojęciami?

MAŁY NIEGRZECZNY CHŁOPIEC

Donald Spoto ALFRED HITCHCOCK

przekład z angielskiego Jana Stanisława Zausa,

Wydawnictwo Alfa, Warszawa 2000



Hitchcock był chyba zmorą wszystkich dietetyków. Dożył późnego wieku, mimo że przez całe dorosłe życie nosił na grzbiecie kilkadziesiąt kilogramów nadwagi. Zjadał olbrzymie ilości tłustych mięs, zawiesistych sosów i słodczy. Alkohol towarzyszył mu od wczesnego rana do głębokiej nocy. Ponadto żył w nieustannym stresie. Popadał w uporczywe konflikty z producentami, scenarzystami, aktorami. Był chodzącym przykładem, jak żyć się nie powinno, jeśli chce się być zdrowym i wydajnie pracować. A on tymczasem pracował, pracował jak mało kto wśród twórców kina. Zrobił pięćdziesiąt trzy filmy fabularne, z czego kilka weszło na trwałe do historii kinematografii, a co więcej – do dzisiaj zapiera widzom dech w piersiach. Dodajmy jeszcze do tego liczne robótki telewizyjne, no i filmy, które nie doczekały się realizacji, choć przygotowywał je miesiącami. W końcu umarł, ale – o ile mnie pamięć nie myli – takie wypadki zdarzają się również ludziom, którzy dbają o siebie... O takim fenomenie nie można napisać książki cienkiej, toteż biograf, Donald Spoto, napisał grubą. Praca Hitchcocka nad każdym filmem została szczegółowo opisana i zanalizowana. Mamy tu też sporo opinii krytyków i fragmenty wspomnień ludzi, którzy go znali i przez jakiś czas z humorem albo zgrozą musieli znosić jego fanaberie. Wreszcie mamy trochę wypowiedzi samego mistrza. Wolałabym, żeby ich było jeszcze więcej, bo to najbardziej ekscytujące momenty lektury. Hitchcock nakłaniany do osobistych zwierzeń wciąż się słuchaczom wymykał, ciągle ich czymś zaskakiwał. Nigdy na sto procent nie byli pewni, kiedy mówi serio, a kiedy żartuje. I takim trzeba go było w tej biografii zostawić. Autor próbuje go jednak rozgryźć, zobaczyć, co się naprawdę kryło w tym twardym orzechu. Jakie tam były fobie, bóle, zahamowania, kompleksy. I owszem, natrafia na to wszystko, tylko czy, hm, coś z tego wynika? Wiadomo na przykład, że niepohamowany apetyt bywa często reakcją na jakieś niepowodzenia w sferze erotycznej. Ale wiadomo też, że na

świecie było zawsze mnóstwo obżartuchów podkochujących się bez wzajemności w pięknych blondynkach. Więc dlaczego tylko jeden z nich zrobił *Okno na podwórze* albo *Ptaki*? Tajemnica talentu pozostaje tajemnicą. Niezależnie od tego, ile zjedzonych z rozpaczy homarów składało się na każdy poszczególny film... Wróćmy raczej do samego Hitchcocka i jego działalności. Z jednej strony, był dzieckiem szczęścia, bo już we wczesnej młodości w kręgach filmowych ceniono go jako świetnego fachowca. Z drugiej strony, rzadko i niechętnie dostrzegano w nim prawdziwego artystę. Dopiero entuzjastyczne opinie twórców europejskich udowodniły, że na ten tytuł zasłużył. Filmy jego bywały czasem nominowane do Oscara, ale żaden go nie dostał. „Zawsze jako druhna, nigdy jako panna młoda” – zażartował łaskawie, choć może go to bolało. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zacytować czegoś jeszcze. Sam sobie wymyślił napis na nagrobku: „Oto, co się stanie z małymi, niegrzecznymi chłopcami”. Jak znam życie i cmentarny *savoir-vivre*, nigdy tego projektu nie zrealizowano. Albo zakończenie któregoś przemówienia wobec bardzo nobliwej, wydekoltowanej i wyfraczonej publiczności: „Mówiono mi, że morderstwo popełnia się co minutę, więc nie chcę już marnować waszego cennego czasu. Wiem, że chcecie się zabrać do roboty. Dziękuję”.

PIĘKNA I KAPUŚ

Maja Plisiecka JA, MAJA PLISIECKA

przekład z rosyjskiego Ewy Rojewskiej-Olejarczuk i Henryki

Broniatowskiej, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1999



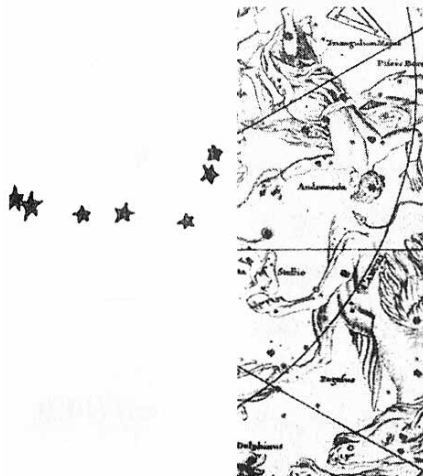
Ciekawe, dlaczego rewolucja bolszewicka od razu, w pierwszym rozpedzie, nie rozprawiła się z rosyjskim baletem. Trudno przecież o sztukę bardziej elitarną, dworską i kosmopolityczną na dodatek. Musiał być powód takiego zaniechania. Był. Do nowej Rosji zaczęli co prędzej przyjeżdżać rozmaici politycy, dyplomaci, delegacje oficjalne. Co z nimi robić wieczorami? Teatr ze względu na język odpadał, częściowo i opera. Pozostawały koncerty, ale te nie wszystkich interesowały, no i ten klasowo obcy balet. I tak już zostało. Próbowano wprawdzie narzucać mu nowe, ideologicznie słuszne scenariusze, ale jakoś bez powodzenia. Z konieczności trzeba było mieć zawsze w repertuarze balety dawne. Na przykład Mao podczas pobytu w Moskwie wołał obejrzeć *Jezioro łabędzie* niż te wszystkie *pas de deux*, *pas de bourrée*, *battements* i *ronds de jambe* przygotowane na cześć rewolucji chińskiej. Maja Plisiecka pisze, że tańczyła *Jezioro...* ponad siedemset razy. Oczywiście uczestnicząc tam w różnych rolach, w różnych aranżacjach i na różnych scenach świata. Dodajmy do tego mnogość baletów innych, też przez nią tańczonych. Ktoś mógłby pomyśleć, że całe jej życie wypełniał tylko taniec i jego doskonalenie. Ależ nie, musiało jej jeszcze starczyć sił, czasu i cierpliwości na użeranie się z urzędami, pisanie niezliczonych podań i wysiadanie w poczekalniach. Chodziło głównie o wyjazdy zagraniczne. Coś w niej było takiego, że nie budziła zaufania. Im bardziej była w swoich podaniach natarczywa, tym bardziej stawała się podejrzana o chęć pozostania na Zachodzie albo o szukanie kontaktu z obcą agenturą. Jeszcze od biedy ją wypuszczali, kiedy wyjeżdżał cały zespół. Ale niebawem zagranica zaczęła ją zapraszać na indywidualne występy. Bez skutku. Urząd odpowiadał w jej imieniu, że niestety jest chora. I tak przez sześć lat – a dla tancerki to bardzo, bardzo długo. Iluż to znakomitych artystów rosyjskich w ten korespondencyjny sposób zapadało na zdrowiu – Ojstrach, Richter, Rostropowicz... U nas także odpowiednie

urzędy decydowały, który pisarz czy uczoney czuje się tak dobrze, że może wyjechać, a który kwęka. Kiedy wreszcie coś w tym błędnym kole trzasło, natychmiast otoczyło tancerkę nowe błędne koło – jej zagraniczne zarobki. Była od każdego występu opłacana w tysiącach dolarów, z czego na potrzeby własne mogła odliczyć śmiesznie skromną sumkę. Reszta wędrowała nie wiadomo gdzie, a właściwie wiadomo. Inwigilacja za granicą dużo kosztuje. Nie wystarczył tu, jak w kraju, jeden kapuś, musiał być na zmianę drugi, ponadto trzeci, który kontrolował tamtych dwóch, i czwarty, który miał oko na wszystko. Plisiecka tańczyła więc na pensje, diety i premie dla kilku naraz osobników. Ponadto na ich pokoje w hotelach i przelot samolotami. Nie wspominając już o frakach, ponieważ gwiazda zapraszana była często na wykwintne koktajle przez głowy państwa albo żony tych głów. Naiwni gospodarze może czasem pomyśleli, że ten spocony facet, który zazdrośnie przysłuchuje się każdej rozmowie, to jakiś wielbiciel tancerki, śmiertelnie w niej zakochany. A kapuś, czemu nie, może by się nawet i zakochał, gdyby mu władza kazała.

GWIAZDY NA MILLENIUM

IMPERIUM PLOTKI

Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2000



Słownikowa definicja plotki brzmi: „Nie sprawdzona lub kłamliwa pogłoska powtarzana z ust do ust, najczęściej szkodząca czyjejs opinii”. Z tej definicji wynika, że istnieją dwa rodzaje plotek: jedna, która posługuje się nie sprawdzonymi pogłoskami bez kłamliwych intencji, i druga, która od początku je ma. Autor książki zajmuje się głównie tym drugim rodzajem. Jest to lektura posępna, bo inna być nie może. Ale witamy właśnie nowe milenium i jakoś głupio mi zaczynać od lamentów. Wolę powiedzieć kilka słów o plotce pierwszego rodzaju, która bierze się po prostu z wrodzonej nam ciekawości. Ciekawość pobudzana jest faktami, których nie rozumiemy, ale w miarę swoich sił próbujemy zrozumieć. W ten sposób plotkują nawet święci, chyba że są członkami jakiegoś zakonu milczącego. Oto przykłady: Na temat tragedii „Kurska” obiegiło świat podobno aż osiemnaście hipotez. Słowo „hipoteza” brzmi dumnie, ale to tylko plotka w naukowym przebraniu, skoro do tej pory nie ma dostępu do wiarygodnych dokumentów czy dających się potwierdzić opinii. Podobnie rzecz się ma ze śmiercią Sikorskiego, zabójstwem Kennedyego, zamachem na Papieża.

Czy w takich przypadkach nasza ciekawość powinna się powstrzymać od wszelkich domysłów? Skłonność do domysłów to przecież jedna z najżywotniejszych cech ludzkiego gatunku. Gdyby nie ona, do tej pory huśtałibyśmy się na drzewach. Od domysłów zaczęli i Kopernik, i Newton, i Darwin, i Pasteur... Padły tu wielkie nazwiska, ale ostatecznie również i zwykli państwo Kowalscy zasługują na uwagę. To, że nie wymyślili światłowodów i nie dokonali odkryć w genetyce molekularnej, jeszcze ich prawa do snucia domysłów nie pozbawia. Zresztą nie wszyscy spośród nich muszą być koniecznie paplającymi byle co idiotami. Znam i znałam ludzi naprawdę bardzo mądrych, którym zdarzało się plotkować na mało sobie znane tematy. Czasem nawet niespecjalnie doniosłe, na przykład dlaczego Genia porzuciła Henia... Jest oprócz

ciekawości jeszcze jedno źródło plotki trudnej do uniknięcia. Każdy z nas pragnie od czasu do czasu przeżyć coś niezwykłego. Być czegoś świadkiem albo przynajmniej dać wiarę tym, którzy twierdzą, że świadkami byli. Sama asystowałam przy narodzinach takiej plotki. Kiedyś, kiedyś wracaliśmy we dwoje z kina. Był piękny wieczór, gwiazdy świeciły wyraźnie, toteż przystanęliśmy na trochę i zaczęliśmy sobie pokazywać, gdzie Wielka Niedźwiedzica, a gdzie Mała i czy tamto, nieco większe i jaśniejsze, to Mars czy raczej Wenus. Po chwili okazało się, że za nami stoi już spora i wciąż powiększająca się grupka ludzi, którzy też sobie coś z ożywieniem pokazują. Nazajutrz zaczęła krążyć po Krakowie wieść, że nad miastem przelatowało UFO, i że na łączce opodal Lasku Wolskiego jest jeszcze zryta ziemia jako dowód lądowania. No cóż, historyjka zabawna, ale i trochę zasmucająca. Bo czy doprawdy trzeba aż wiary w UFO, żeby czasem przystanąć i spojrzeć na niebo? Przecież i bez tego niebo to największa sensacja, jaką nam życie zaoferowało. Nie wiem, czy w nowym mileniu ludzkość stanie się lepsza. Ale niektórzy z nas mają tę szansę. Jeśli tylko częściej będą się wszystkiemu dziwić. Temu, co jest w nich, temu, co obok nich, a już najbardziej temu, co ponad nimi...

NARESZCIE

Edward Gibbon

UPADEK CESARSTWA RZYMSKIEGO NA ZACHODZIE

przekład z angielskiego Ireny Szymańskiej, przypisy

w przekładzie Mikołaja Szymańskiego, Państwowy

Institut Wydawniczy, Warszawa 2000



„Dosyć już mam tych Rzymian!” – zakrzyknęła pewna pani, od której kiedyś zależało, czy jakaś książka wyjdzie, czy nie wyjdzie. Jako osoba czujna miała absolutną rację. W ustroju, który głosił, że został ustanowiony raz na zawsze, badania historyczne były dziedziną z natury podejrzaną. Wynikało z nich przecież, że nic nie trwa wiecznie. Nawet Rzym, takie wielkie imperium. Z jego upadku niektórzy czytelnicy mogli wysnuć dla siebie jakąś reakcyjną pociechę... Po prawdzie nie wiem, czy ta akurat pani w tym czasie urzędowała i czy to właśnie jej zawdzięczamy, że monumentalne dzieło Gibbona *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego* mogło się ukazać w 1960 roku tylko w dwóch tomach pod względnie łagodnym tytułem *Zmierzch...*, natomiast trzeci, omawiający już ostateczny *Upadek...*, nie ujrzał światła dziennego. Tak czy owak, wyżej cytowany okrzyk dobrze ilustruje pewną rzeczywistość. No i nareszcie, po czterdziestu latach, dostajemy do rąk ten *Upadek...* Dla posiadaczy dwóch poprzednich tomów będzie to ogromna radość. Ale ilu ich jeszcze zostało? W dodatku wyrosły już przecież dwa nowe pokolenia. Szkoda więc, że nie wydano równocześnie dwóch poprzednich tomów. Domyślam się, że brakło funduszy. Ale można było przynajmniej w tym ostatnim tomie dopisać jakiś wstęp, przypomnieć postać autora i znaczenie jego dzieła dla myśli europejskiej. Anglik Edward Gibbon był jednym z najdociekliwszych umysłów Oświecenia. W odróżnieniu jednak od swoich francuskich kolegów przekonania miał konserwatywne, w każdej zmianie dopatrywał się najgorszych niespodzianek. Swoje dzieło o losach Rzymu pisałomalże z rozpaczą. Za najpiękniejszy okres w dziejach imperium uważał dwustuletnie panowanie rodu Antoninów. Był to rzeczywiście okres względnego spokoju i cywilizacyjnego rozkwitu. Podbite ludy (. zawsze krwawo

i bezwzględnie) mogły dzięki rozsądnej administracji ujrzeć wówczas w Rzymie gwaranta własnego rozwoju i bezpieczeństwa. Niestety, te podboje, rozpoczęte przed wiekami, nigdy nie mogły dojść końca. Każdy spacyfikowany lud miał za plecami jakichś swoich dawnych wrogów. Rzym tych wrogów dziedziczył i znowu musiał ich pacyfikować i wcielać. Ale ci nowo wcieleni też byli tarמושeni od tyłu przez jakieś nieprzyjemne ludy. Wobec tego Rzym musiał znowu...

I tak dalej, i tak dalej. Tom *Upadek...* pokazuje skutki tej fatalistycznej konieczności: Rzym już nie podbijał, Rzym już tylko się bronił. Pracowały na ten upadek inne jeszcze przyczyny, które z kolei też miały swoje przyczyny. Kruszyły się instytucje stojące na straży prawa i obyczajów, dyscyplina w armii słabła coraz bardziej, obywateli ogarniała jakaś senność sytości i zwątpienie. Pod naporem bujnie krzewiącego się chrześcijaństwa uległa też rozerwaniu tradycyjna więź, jaką była stara religia państwowa. Chrześcijaństwo nie od razu tę więź zastąpić mogło – samo było wewnętrznie skłócone, podzielone na wiele większych i mniejszych wspólnot rozmaicie rozumiejących prawdy wiary. W jednym tylko te wspólnoty były zgodne: skończyć raz na zawsze z pogaństwem, zburzyć jego świątynie, posągi, malowidła, mozaiki. Rozdział opisujący tę zaciętrzewioną działalność, podjętą na całym obszarze dogorywającego państwa, należy do najsmutniejszych w tej książce. Ale trudno. Historyk rzetelny – a takim Gibbon ze wszystkich sił starał się być – rzadko kiedy ma okazję opowiadania rzeczy przyjemnych.

GŁUPIE KLOCKI

Andrew Langley

100 NAJWIĘKSZYCH TYRANÓW

przekład z angielskiego Marka Maciołka, Wydawnictwo

Podsiedlik-Raniowski i S-ka, Poznań 1996



Kupiłam tę książkę, niewiele się po niej spodziewając oprócz ilustracji. Te rzeczywiście są dobre. Ale cóż – zachowałam w naszej obrazkowej epoce staroświecką skłonność do czytania tekstów przy obrazkach. Już sam tytuł mnie zdziwił. Tyranów było w historii troszkę więcej, co najmniej jakieś sto tysięcy. Jedni szaleli krótko, drudzy długo. Jedni na małym, inni na wielkim terenie. Jedni poprzestawali na wymordowaniu własnej rodziny, drudzy rozszerzali pojęcie niepożądanego rodziny na całe narody. Itp., itd. Jak tu ich powybierać i „zaokrąglić” do stu? I czy jakieś kryteria wyboru są tu w ogóle możliwe? Autor takich pytań sobie jednak nie stawiał – kto mu się akurat przypomniał, tego do książki pakował. Jest Stalin, jest Hitler, ale obok nich też Napoleon – czy to nie przesada? Nie ma za to Robespierre’a. Widocznie autor uznał, że jego ofiary to tylko nieszczęśliwe wypadki przy pracy. Jest, owszem, Torquemada, ale już nie jego następcy. Jest Beria, ale już nie jego poprzednicy. Jest Pizarro, ale już nikogo więcej ze zdobywców-ludobójców. Może niektórzy autorowi po prostu się nie zmieścili? Czemu w takim razie znalazł się tu nieszczęsny Ludwik II Bawarski, który żadnym Drakulą nie był ani być nie zamierzał? Albo na przykład Robert Menzies, premier Australii, który do tego stopnia zadarł z opozycją i ministrami, że w pewnej chwili musiał podać się do dymisji... Widząc go w swoim gronie, Pol Pot, Idi Amin czy Bokassa popłakaliby się ze śmiechu. Ale zaraz, zaraz. Co ja tu właściwie wyprawiam? Daję się wciągnąć w jakąś dwuznaczną zabawę. Mimo woli zaczynam się zastanawiać, ile trupów i ludzi sterroryzowanych zostawić po sobie należy, żeby osiągnąć tytuł tyrana – i ile jeszcze do tej liczby dorzucić, żeby znaleźć się na liście rankingowej najlepszych zawodników. Jak się okazuje, Duch Czasu również i mnie chwyta za włosy i wlecze w kierunku swoich ukochanych punktacji, sondaży, wykresów, „pierwszych dziesiątek”, „pierwszych

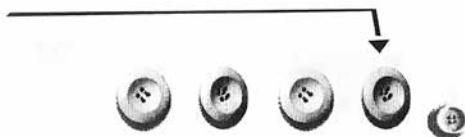
setek”. Pełno tego wszędzie. Jeśli chodzi o sport, giełdę czy statystyki gospodarcze, to wszystko w porządku. Pewne jednak dziedziny powinny być chronione przed układaczami takich tabel. Na przykład kultura. Z wtorku na środę dowiadujemy się, czyje dzieło wyszło na prowadzenie, a które pozwoliło się prześcignąć. Natychmiast się te cyferki analizuje, chociaż z góry wiadomo, że już ze środy na czwartek notowania mogą być inne. W dodatku stawia się obok siebie dzieła tak odmienne, że w ogóle nie nadają się do porównań. Parę dobrych lat temu widziałam tabelkę informującą, że pod względem ilości nakładów Agata Christie przeskoczyła właśnie Biblię, a z kolei Agatę przeskoczył Mao ze swoją czerwoną książeczką. Coś z tego miało wynikać, tylko nie wiadomo co. Podobnie z historią. W takie głupie klocki układać się jej nie da. Ktoś, kto kupił tych *100 największych tyranów*, doprawdy lepiej by zrobił, gdyby dużo taniej i z większym pożytkiem kupił sobie na przykład *100 potraw z ziemniaków*.

GUZIKI

Zbigniew Kostrzewa

GUZIK W LITERATURZE

Muzeum Guzików, Łowicz 2000



W Łowiczu powstaje Muzeum Guzików. Ma już swój papier firmowy i wydało książeczkę o guzikach w literaturze. Może ten i ów na taką wieść zacznie pukać się w czoło i pytać z krzywym uśmieszkiem, czy aby tamtejsi obywatele nie mają już większych zmartwień. I czy małym miastom nie wystarczą aż nadto jakieś izby pamięci czy witryny wyrobów regionalnych i wypchanej fauny. Otóż nie wystarczą – a przynajmniej nie powinny. Może tylko ja mam takiego pecha, ale ile razy w przejeździe mam ochotę obejrzeć lokalne muzeum, to albo jest zamknięte (klucz u kierowniczkii), albo dowiaduję się już w środku od dyżurnej pani, że jestem jedyną od czterech miesięcy osobą, która tu weszła. Łatwo się domyślić, czemu tak jest. Co piękniejsze czy historycznie ciekawsze eksponaty dawno już zostały pozabierane do muzeów w dużych miastach. To, co zostało, mało kogo przyciąga. Co innego, gdyby w niektórych miasteczkach powstały placówki skupiające się na określonym temacie – oczywiście wszędzie na jakimś innym. Na widok szyldu „Muzeum Guzików” przejezdny gość, po chwili osłupienia, zastanowi się, wejdzie, obejrzy. I może nawet pomyśli, że w miejscowości, gdzie się urodził – on albo jego przodkowie – też by się chyba przydało jakieś miłe muzeum. Może starych pocztówek? Dawnych modlitewników? Zabawek? Kart do gry? Szachów? Gdyby jeszcze tuż obok znalazła się gospoda, gdzie by nie gotowano zupy na skarpetkach, sława miasteczka daleko by się rozniosła. Jest jeszcze jedno „za”. Sporo jest w Polsce zbieraczy. Pomijam nawet takich, co zbierają byle co i byle jak. Myślę o tych wybrednych, bardzo już w swoim kolekcjonerstwie wyspecjalizowanych, posiadających wiele prawdziwych osobliwości. Przeważnie mają oni kłopot, komu swój zbiór zapisać. Rodzina rzadko kiedy taki spadek po zbnikowanym dziaduniu doceni. Któreś duże muzeum, jeśli nawet kolekcję przyjmie, najprawdopodobniej upcha ją w piwnicznym magazynie. Najlepszym wyjściem są

muzea malutkie, rozsiane po całym kraju i bardzo ożywiające krajobraz. Ale wróćmy do guzików. Oprócz broszurki o guzikach w literaturze przydałaby się książeczka o historii guzików. Sama wiem o niej tyle co nic. Chyba tylko to, że nie wyrosły nagle na drzewach – jakieś plemię musiało je wymyślić i wprowadzić do użytku. Stało się to najpewniej we wczesnym Średniowieczu. W każdym razie starożytni jeszcze się na guziki nie zapinali. Służyły im do tego różne fibule, sprzączki, wiązadła. W przeciwnym razie srodze by ich różne boreasze i akwilony podwiewały. A lniane białe sukienki dawnych Egipcjanek? Były tak obcisłe, że przez głowę wkładane być nie mogły. Musiały mieć gdzieś z tyłu dyskretne rozcięcia, w jakiś tam sposób potem zapinane. W tym miejscu ci, co lubią pukać się w czoło, zechcą mi zadać pytanie, czy już doprawdy nie mam większych zmartwień jak kłopoty krawców znad Nilu. Naturalnie, że mam większe zmartwienia, ale to jeszcze nie powód, żeby nie mieć mniejszych.

POCHWAŁA PYTAŃ

Jared Diamond

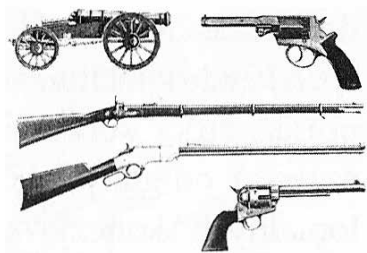
STRZELBY, ZARAZKI, MASZYNY – LOSY

LUDZKICH SPOŁECZEŃSTW

(zasłużona nagroda Pulitzera), przekład z

angielskiego Marka Konarzewskiego, Wydawnictwo

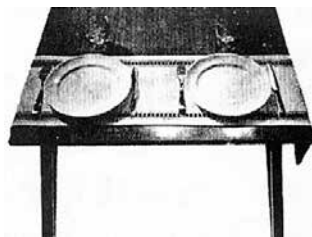
Prószyński i S-ka, Warszawa 2000



Szkoda, że od początku lektury nie zaczęłam liczyć, ile razy powtarza się w książce „dlaczego”. Chyba paręset razy. Mnogość ta wynika z jednego tylko pytania głównego: skąd wzięły się tak wielkie, do dziś jeszcze nie zatarte cywilizacyjne różnice na naszym globie? Start ludzkości był przecież jako tako równy – tworzyły ją małe grupki łowców i zbieraczy penetrujących Ziemię w poszukiwaniu żywności i schronienia. Dlaczego więc jedne utknęły w tym sposobie życia na długie tysiąclecia, a inne potrafiły go sobie radykalnie zmienić? Rasiści (nawet tacy, którzy by się do tego nigdy głośno nie przyznali) mają na to gotową odpowiedź: po prostu istnieją ludy zdolne i mniej zdolne. Już po krótkim namyśle widać głupotę takiej odpowiedzi. Nie w inteligencji leży przyczyna. Archimedesi rodzili się wszędzie, nie każdy jednak dysponował wanną, z której mógłby wyskoczyć z okrzykiem: „Eureka!” Ludność podbiegunowa nie mogła wymyślić technologii uprawy ryżu. Ludność zaszyta w podzwrotnikowych lasach nie mogła udomowić dzikiej owcy. Nie trzeba też mieć pretensji do aborygenów, że nigdy nie wpadli na pomysł dojenia kangurów albo przynajmniej dosiadania ich na oklep. Podobnych ograniczeń było dużo, a każde z nich miało swoje specyficzne skutki. Żeby je opisać, autor korzysta z wiedzy własnej i cudzej – począwszy od glaciologów, a na historykach podbojów kolonialnych skończywszy. Pytania i odpowiedzi, a po tych odpowiedziach kolejne pytania... Końca temu nie ma. Ale czy to źle? Spróbujmy pospekulować i wyobrazić sobie jakiś przeraźliwie odległy czas, kiedy ludzkość – jeśli przetrwa – będzie już wiedziała wszystko. Skończą się wszelkie pytania, bo zbraknie dla nich powodu. Żadnych tajemnic, domysłów, wątpliwości co do najdrobniejszych

nawet detali. Wszystko, łącznie z kosmosem, rozpoznane, sprawdzone, zmierzone, porachowane i wrzucone do któregoś galaktycznego komputera... Przeszłość prześwietlona na wskroś, cała terażniejszość jak na dłoni. A przyszłość? Czy w takich warunkach byłaby jeszcze możliwa jakaś przyszłość? Wszechwiedza jawi mi się jako nieporównywalna z niczym katastrofa, paraliż wyobraźni, ogólne zamilknięcie. Bo o czym tu gadać, skoro wszyscy wiedzą to samo i na pewno? Pocięcha w tym, że taki czas nigdy chyba nie nastanie... Książka liczy ponad pięćset stron, a jej autor kończy ją z poczuciem, że nie wszystkie kwestie związane z głównym tematem zostały przebadane. No i pięknie. Polecam ten gruby tom na letnie wyjazdy. Nie wiem, skąd się wzięło idiotyczne przekonanie, że na urlopy należy brać książki „lekkie”. Ależ przeciwnie, te „lekkie” czyta się – jeżeli w ogóle się coś czyta – przed zaśnięciem, po pracy zawodowej i domowej, kiedy trudno już o skupienie, jakiego wymagają książki poważniejsze. Ku zachęce dodam jeszcze szczegół dla treści książki nieistotny, ale miły. We wstępie autor wspomina o swojej żonie Marysi. Gdybyśmy go więc przypadkiem gdzieś na szerokim świecie spotkali, z pewnością zrozumiemy, kiedy mu powiemy „dzień dobry”.

ONIEŚMIELENIE



O poezji Miłosza w *Lekturach nadobowiązkowych*? Jest ona przecież dla wszystkich ludzi przyzwyczajonych czasami myśleć lekturą obowiązkową, a przynajmniej taką być powinna. Nie o niej więc będę tu mówić. Mam dużo gorszy pomysł: będę pisać o sobie, a ściślej o swoim wobec tej twórczości i autora onieśmieleniu. Zaczęło się ono dawno, bo w lutym 1945 roku. Znalazłam się na widowni Starego Teatru w Krakowie, gdzie zorganizowano pierwsze po wojnie czytanie poezji. Nazwiska występujących autorów nie mówiły mi nic. Byłam jako tako odczytana w prozie, natomiast moja znajomość poezji równała się zeru. Ale słuchałam i patrzyłam. Nie wszystkim się to czytanie udawało, jedni recytowali z nieznośnym patosem, innym załamywały się głosy i kartki drżały w rękach. W pewnym momencie zapowiedziano kogoś o nazwisku Miłosz. Czytał swoje wiersze bez tremy i bez deklamatorskiej przesady. Tak jakby tylko głośno myślał i nas do tego myślenia zapraszał. „No tak – powiedziałam sobie – to jest prawdziwa poezja i prawdziwy poeta”. Byłam z pewnością niesprawiedliwa. Poetów zasługujących tam na wyjątkową uwagę było jeszcze dwóch, trzech. Ale wyjątkowość ma szczeble. Przecucie mi mówiło, że do Miłosza trzeba będzie nieźle zadzierać głowę. Wkrótce potem mój podziw został narażony na ciężką próbę. Z jakiejś okazji po raz pierwszy w życiu znalazłam się w prawdziwej restauracji. Rozejrzałam się i co widzę – opodal, w towarzystwie, siedzi Czesław Miłosz i zajada kotlet schabowy z kapustą. To był cios. Wiedziałam wprawdzie, że także poeci czasami coś jedzą, ale żeby wybierali w tym celu dania tak trywialne? Jakoś wkrótce uporałam się z tą zgrozą. Miałam zresztą ważniejsze przeżycia, zaczynałam już być pilną czytelniczką poezji. Ukazało się już *Ocalenie*, a na nowe wiersze poety natrafiałam w prasie. Moje onieśmielenie rosło, stawało się w miarę lektury coraz silniej uzasadnione. Następnym razem, z końcem lat pięćdziesiątych, zobaczyłam Miłosza w Paryżu. Przechodził między stolikami kawiarni, prawdopodobnie z kimś umówiony. Nadarzała się okazja, żeby podejść i powiedzieć – co może chętnie by wtedy usłyszał – że jego zakazane książki są jednak w kraju czytane, przepisywane z pojedynczych, przemycanych przez granicę

egzemplarzy. I że ci, co bardzo tego chcą, dostęp do nich prędzej czy później znajdują. Jednak nie podeszłam i nie powiedziałam. Paraliżowało mnie onieśmielenie. Dopiero po latach Miłosz mógł przyjechać do Polski. Na Krupniczej w Krakowie, gdzieśmy tłumnie na niego czekali, pojawił się, prawie niewidoczny w kłębie fotografów z fleszami i mikrofonami. Kiedy się stamtąd wreszcie, znękany, wyszamotał, otoczyli go z kolei łowcy autografów. Zabrakło mi odwagi, żeby zawracać mu głowę w tej ciżbie, przedstawić się i bodaj poprosić o podpis. Dopiero podczas jego drugiego pobytu w Polsce miałam szczęście poznać go osobiście. Od tej chwili dużo się zmieniło, ale pod pewnym względem nie zmieniło się nic. Zyskałam wprawdzie wiele sposobności, żeby z Nim rozmawiać, spotykać Go w gronie wspólnych przyjaciół, nawet występować z Nim na różnych imprezach i męczyć się pospołu na oficjalnych fetach – a jednak stale, aż do dziś nie znalazłam pomysłu, jak obcować z tak Wielkim Poetą. Moje wobec Niego onieśmielenie pozostało tak silne jak dawniej. Chociaż czasami żartujemy sobie i trącamy się kieliszkami z dobrze schłodzoną wódeczką. I chociaż nawet kiedyś w restauracji zdarzyło nam się zamówić to samo – kotlet schabowy z kapustą...

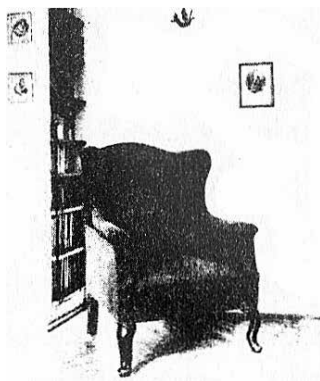
WSZĘDZIE POLACY

Jan Zieliński

NASZA SZWAJCARIA – PRZEWODNIK

ŚLADAMI POLAKÓW

Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1999



Jeszcze zanim zaczęłam kartkować ten przewodnik, poddałam samą siebie szybkiemu egzaminowi – ilu wybitnych Polaków kojarzy mi się ze Szwajcarią. Wydobyłam z pamięci dziewięć postaci: Kościuszko, Mickiewicz, Patek, Sienkiewicz, Żeromski, Piłsudski, Dmowski, Mehoffer, Narutowicz. Nieźle, prawda? Wystarczył jednak rzut oka na indeks osobowy, żeby moje samozadowolenie prysło jak przekłuty balonik. Jak mogłam na przykład zapomnieć o polskich humanistach XVI w., którzy utrzymywali żywe kontakty ze szwajcarskimi uczelniami, a przynajmniej o Łaskim, Modrzewskim, Dantyszku? Jak mógł mi wylecieć z głowy poeta Malczewski, zdobywca Mont Blanc – wprawdzie jako ósmy, ale być ósmym to przy ówczesnym ekwipunku bardzo honorowa lokata. Czemu nie przyszedł mi na myśl Plater, założyciel muzeum w Rapperswilu? Albo Paderewski, Mościcki, Stempowski? Albo Krasiński, Konopnicka, Orzeszkowa, Kraszewski? Już nawet pomijam panią Hańską, która miała tu randkę z Balzakiem. Ale przede wszystkim, jak mogłam w swojej wstępnej wyliczance nie wymienić Słowackiego? Nie pomyśleć o jego szwajcarskich wierszach i listach do matki? Wreszcie o jego szwajcarskim fotelu, „w którym jak siądę, to mnie nie widać”... Nawiasem mówiąc, żartobliwe to wyznanie odzwierciedlało najszczerzą cieleśną prawdę. Pan Juliusz był – jakbyśmy to dziś powiedzieli – wysoki inaczej... Ułożenie takiego przewodnika wymagało długotrwałej, dociekliwej pracy. Nie było chyba w Szwajcarii tak zapomnianego cmentarzyka i tak małego archiwum, do którego by Jan Zieliński w poszukiwaniu polskich nazwisk nie zajrzał. Każdego wyłowionego w ten sposób rodaka, niekoniecznie nawet wybitnego, ale choćby z innych względów zasługującego na uwagę, starał się opatrzyć w stosowną bibliograficzną informację, przeważnie wystarczającą. Czasem tylko troszkę zbyt skąpą. Miałam na przykład kłopot

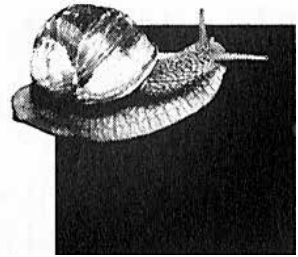
z polskimi żołnierzami, którzy po klęsce Francji w 1940 r. zmuszeni byli szukać w Szwajcarii azylu. Internowano ich i rozlokowano po licznych wioskach i miasteczkach. Z liczby tych miejscowości wnioskować by można, że to była jakaś olbrzymia armia. W rzeczywistości nie wszystkie te obozy dla internowanych funkcjonowały równocześnie – wojskowych małymi grupami przemieszczano z jednej miejscowości do innej, zależnie od tego, gdzie była dla nich praca. Otóż szlaki tych przemieszczeń i ich chronologia nie rysują się w przewodniku jasno. I jeszcze inna sprawa, tym razem niepokojąca, która prosiłaby się o jedno bodaj zdanie komentarza. W klasztorze w Taenikon pracowali żołnierze z 2. Dywizji Strzelców Pieszych pochodzenia... żydowskiego. Jak mogło do takiej segregacji dojść – na czyje życzenie, z czyjego rozporządzenia? Być może sprawa jest historykom dobrze znana, w różnych wspomnieniach odnotowana, i tylko ja, laik, dowiaduję się o niej po raz pierwszy. Ale coś mi się zdaje, że takich laików oprócz mnie jest w Polsce trzydzieści parę milionów, nie wliczając w to dzieci.

NIEBOSZCZYK NA TEKTURCE

Andrzej Falniowski

DROGI I BEZDROŻA EWOLUCJI MIĘCZAKÓW

Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2001



„Mięczak” w mowie potocznej oznacza człowieka bez charakteru. Prawdziwe mięczaki powinny podać ludzkość do sądu za obrazę czci. W rzeczywistości przecież to ród starożytny, mocno utwierdzony w swych życiowych racjach, wytrwały i mężny. W przerażającym, a jednocześnie zachwycającym serialu, zwanym ewolucją, bierze udział od pięciuset milionów lat. Dziesiątkowały go w tym czasie niezliczone kataklizmy, ale do końca nie dały mu rady. Profesor Andrzej Falniowski ze swoim dziełem pod pachą mógłby być rzeczoznawcą na tej sądowej rozprawie. Skoro jednak do procesu raczej nie dojdzie, zajmijmy się samą książką, którą autor nazywa powściągliwie „zarysem”. Ładny mi zarys: trzysta siedemdziesiąt stron formatu B5, z bibliografią drobnym druczkiem na dwadzieścia trzy strony i indeksem nazw łacińskich ciągnącym się w dwóch rzędach przez stron jednaście. Nie będę udawać, że przeczytałam wszystko z należytą uwagą. Na razie skupiłam się na małżach i ślimakach. Co gatunek to jakaś niebywała właściwość. Na przykład prześliczna *Wenus* Botticellego stoi na muszli przegrzebka. Malarz nic nie przesadził, muszle potrafią być jeszcze większe. Jednocześnie istnieją gatunki o muszelkach nie prze kraczających jednego milimetra. Albo kwestia wytrzymałości. Pewien ślimak przywieziony z Algierii przez cztery lata przebywał jako martwy eksponat w którymś londyńskim muzeum. Przez nieuwagę chlapnięto na niego wodą. Natychmiast ożył i zabrał się do zjadania tekturki, na której był umieszczony. Albo sprawa seksualnej zaradności. Samiczki, kiedy w pobliżu nie ma kawalerów (którzy choćby nie wiem jak chcieli, spieszą się bardzo powoli), zapładniają się same. Przez dwadzieścia lat obserwowano taki żeński pensjonat i doczekano się aż dziewięćdziesięciu trzech kolejnych pokoleń. Wreszcie obserwację przerwano. Jak dodaje autor – z nudów... W Polsce gatunków małży i ślimaków nie ma wiele. Nie ten klimat na lądzie i warunki w morzu. Żadnych rozbuchanych kształtów i kolorów. Ale i

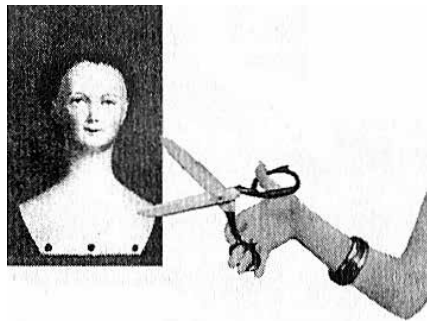
te szaraczki pokazały, co potrafią. Zaraz po ustąpieniu lodowca, który miał dość czasu, żeby wykończyć ich dawnych kuzynów, szybko opanowały opuszczony teren. Na przykład przylatywały na skrzydłach ptaków, na liściach niesionych wiatrem... Moim ulubieńcem jest popularny ślimak winniczek. Gatunek ten ma jednak samobójczą skłonność do przepędzania w poprzek szos. Jednego ryzykanta zapamiętałam szczególnie, bo miał dwie igielki modrzewia przylepione do skorupki. Zdązał do drugiego brzegu szosy, co mu zajęło cały dzień od świtu do zmierzchu. Na szczęście szosa nie była tego dnia ruchliwa i jakoś mu się udało. Ale nazajutrz – co widzę? Mój winniczek lezie z powrotem. I to dokładnie w kierunku miejsca, z którego wczoraj wystartował. Tym razem już się zdenerwowałam i przeniosłam go na trawę. Nie byłam jednak pewna, czy od tej chwili uzna swój rekonesans za zakończony i da już sobie spokój ze śmiercionośnym asfaltem. Przebywałam w tamtej okolicy jeszcze kilka dni, ale pewien odcinek szosy omijałam szerokim łukiem. Jak radziła mi kiedyś ciocia Kazia – nerwy trzeba oszczędzać.

PANI ZOFIA

Barbara Winklowa

BOYOWIE – ZOFIA I TADEUSZ ŻELEŃSCY

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001



Pewna panienska z zacnej krakowskiej rodziny poślubiła pewnego pana doktora, też z rodziny zacnej. Był jeszcze młody, ale już najsumniejsze lata miał za sobą. Zapowiadało się małżeństwo tradycyjne, typowe w tej sferze. On – niezwykle lekarz, może już z prywatną praktyką i widokami na profesurę. Ona – troskliwa żona, matka, pani domu; od czasu do czasu tylko trochę zaniepokojona, kiedy wizyty ładnych pacjentek przedłużały się nadmiernie. Ale i trochę z tego zadowolona, bo to był dobry powód do zawiadomienia męża, że jej zeszlóroczne futro zaczyna już wychodzić z mody. A tu raptem wszystko potoczyło się inaczej. Z głowy męża zaczęły wyskakiwać nieoczekiwane talenty – poety, tłumacza, publicysty. W tej sytuacji również i pani Zofia musiała się przekwalifikować i stać się żoną pisarza. W dodatku bardzo od razu głośnego. Nie każda pani doktorowa potrafiłaby takiej wolty dokonać. Pani Zofia potrafiła. A nawet odnoszę wrażenie, że na tę życiową zmianę od dawna czekała i dzięki niej mogła pokazać swoją klasę. Znosiła ze zrozumieniem milkiwość zawsze zapracowanego męża i jego czarne humory. Objęła dozór nad korespondencją, robiła korekty, sprawdzała z oryginałami przekłady. Kiedy powstała słynna „Biblioteka Boya”, zajmowała się pakowaniem i wysyłką książek. Wkrótce to chlubne przedsięwzięcie okazało się deficytowe i Boyowie musieli do niego dopłacać. Niejedno futro rozwiał się w ten sposób w sienie mgle. Ale futra to głupstwo. Gorzej z przelotnymi flirtami małżonka. Bo to nie były ani flirty, ani przelotne. Bo zakochał się na serio i zawsze na dosyć długo. Pani Zofia znosiła to ze stoickim spokojem. Nikomu nie wiadomo, że biegła ze skargami do przyjaciółek i adwokatów. Musiała być między obojgiem niepisana umowa, oparta na przeświadczeniu, że w każdym poszczególnym wypadku – zarówno z jego, jak i jej strony – zawsze więcej będzie ich łączyć, niż dzielić. Bodaj najgroźniejszą rywalką stała się Irena Krzywicka. Ale cóż, o tym niebezpieczeństwie

dowiadujemy się od niej samej, bo pani Zofia, tak jak zwykle, milczała. Kiedyś, kiedyś poznałam panią Irenę. Było to w zakopiańskiej Astorii. Jeszcze telewizora do saloniku nie wstawiono, więc ludzie po kolacji rozmawiali. Raz zeszło na duchy – kto widział, kto nie widział i tak dalej. I wtedy pani Irena opowiedziała swoją historię. Był rok 1941, lato. Mieszkała pod zmienionym nazwiskiem w podwarszawskiej willi. Któregoś dnia usłyszała na tarasie czyjeś kroki – ależ tak, to były charakterystyczne kroki Boya! Zdumiona wybiegła na taras. Wiedziała przecież, że Boy przebywa we Lwowie. Na tarasie było jednak pusto i tylko wiatr szeleścił w liściach. Wkrótce domyśliła się, że właśnie tego dnia, o tej porze, Tadeusz Boy-Żeleński został rozstrzelany... Długo o tej opowieści myślałam. Nie interesowała mnie jednak nadprzyrodzona strona zjawiska – niech się nią zajmują fachowcy, o ile tacy w ogóle istnieją. Ciekawiło mnie co innego. Jeśli Krzywicka opowiedziała o tym przeżyciu nam, przygodnym słuchaczom, to chyba tym bardziej musiała o nim opowiedzieć pani Zofii. Obie przecież spotykały się czasem, podczas wojny i po. No więc właśnie – co mogła sobie wtedy pomyśleć pani Zofia? Skoro tamta usłyszała, dlaczego ja nie usłyszałam? Skoro do tamtej przyszedł, czemu o mnie zapomniał? A może to tylko zręcznie wymyślone, żeby cienką, kunsztowną szpileczkę wbić mi w serce?

WĘDROWNICZKI

Michele Slung

WŚRÓD KANIBALI – WYPRAWY

KOBIET NIEZWYKŁYCH

przekład z angielskiego Ewy

Adamskiej, Wydawnictwo National

Geographic, Warszawa 2001



Jeszcze do dzisiejszego dnia panuje przekonanie, że kobiety w odróżnieniu od mężczyzn są z natury domatorkami. Istotnie, w większości są, ale czy z „natury”? Domatorstwo kobiet to zjawisko stosunkowo późne, liczące zaledwie kilka tysięcy lat. Przedtem był długi, bardzo długi i splątany łańcuch tysiącleci, kiedy kobiety z osobnikami płci odmiennej prowadziły życie wędrowne i nie mniej od nich przyczyniały się do rozpoznawania i opanowywania świata. Czyżby ten niezamierzony łańcuch czasu nie zostawił żadnych śladów w naszej dzisiejszej psychice? Modnie jest teraz, czy trzeba, czy nie trzeba, rozprawiać o genach, ale w tym wypadku pokusa jest zbyt wielka – może uda nam się kiedyś rozpoznać gen odpowiedzialny u niektórych ludzi za ich niemożność usiedzenia w jednym miejscu. U mężczyzn niemożność ta odzywa się częściej, u kobiet rzadziej, ale jednak też się odzywa. Jeśli chodzi o mnie, ten gen noszę w sobie głęboko uśpiony, bo wielkich wypraw odbywać nie lubię – co nie znaczy, że nie mam zrozumienia i podziwu dla kobiet, które wdrapują się na jakieś straszne góry, nurzają się w dżunglach i morskich głębinach albo z własnej nieprzymuszonej woli przeskakują przez lodowe szczeliny. Ale największą uwagę żywię dla tych przedstawicielek płci pięknej, które, aby zaspokoić swą ciekawość świata, musiały z wielką determinacją łamać obyczajowe tabu. W takie życiorysy obfituje przede wszystkim wiek XIX, zatrzymam się więc przy tym stuleciu. „Jeśli chcesz popełnić samobójstwo – pisał zirytowany tatuś do alpinistki Anny Smith-Peck – czemu nie zrobisz tego w sposób godny damy?” Oczywiście nie wszystkie panie mogły swoje marzenia zrealizować. Pierwszym tego warunkiem była niezależność

materialna, zazwyczaj jakiś spadek po krewnych. Żadna przecież instytucja naukowa nie sponsorowałaby ich fanaberii. Nawet wówczas, kiedy przywoziły ze swoich wypraw cenną dokumentację reporterską i fotograficzną. Niektóre odważały się na ten skok w nieznanne po owdowieniu i odchowaniu dzieci. Na przykład pani Ida Pfeiffer dopiero jako osoba czterdziestopięcioletnia po raz pierwszy tupnęła nogą i powiedziała: dosyć. Nie uśmiechała się jej rola matrony, która w czarnej sukni siedzi na kanapie i patrzy, jak młodzi tańczą. Wolą w kiece awangardowo (bo aż do pół łydki!) podkasanej obserwować tańce różnych wyspiarskich plemion, o których dotąd jeszcze świat nie słyszał. Niektóre panie wędrowały wraz z mężami i trzeba przyznać, że bardzo sobie oni ich udział w trudach cenili. Opinia publiczna była jednak innego zdania. Jeszcze do dzisiaj w każdej encyklopedii sir Samuel Baker wymieniany jest jako odkrywca Jeziora Alberta. Rzeczywiście, odkrył to bardzo trudno dostępne jezioro. Ale wspólnie z nim odkryła je przecież osoba mu towarzysząca, równie odważna, równie wytrzymała i bystra. Kiedy jednak oboje wrócili do Anglii, jedynie pan Baker został dopuszczony przed oblicze królowej Wiktorii – jego żonie zaszczyt ten został odmówiony. Jeszcze pozwolę sobie wspomnieć o Isabelli Bird Bishop, osóbcie od dzieciństwa chorowitej i tygodniami polegającej w łóżku, która tylko na koczowiskach pod gołym niebem stawała rześko na nogi... Książce dano tytuł *Wśród kanibali*, co z treścią ma niewiele wspólnego. O kanibalach raz tylko pojawia się kilkudzaniowa, i to niezbyt wiarygodna, wzmianka. Ale czego to się nie robi, żeby zwabić czytelników.

LAURKA DLA PRZYBORY

Jeremi Przybora

PIOSENKI PRAWIE WSZYSTKIE

Wydawnictwo Muza, Warszawa 2001



Przybora. Mistrzowskie połączenie piosenki lirycznej z żartobliwą. Mistrzostwo polega na tym, że szwów nie widać. Druga rzadkość – słowa tych piosenek mogą istnieć samodzielnie, nawet bez ślicznych melodii Wasowskiego, a i tak rozrzewniają i śmieszą. Wśród 226 zamieszczonych w tym tomie utworów znajdują się również piosenki smutne, bez domieszki żartu. Ale i tutaj jest się czemu dziwić: nie da się ich wykonywać historycznie. Żadnego egzystencjalnego wycia i łamania krzeseł, żadnego, co teraz w wielkiej modzie, strojenia przeokropnych min, jakby między śpiewaniem a ostrym atakiem ślepej kieszki różnicy nie było. Otóż u Przybory różnica ta występuje bardzo wyraźnie. Jak sam o sobie mówi, gorliwym pisaniem piosenek zajął się stosunkowo późno. To zrozumiałe, wcześniej obowiązywały piosenki w rytmie marsza ku świetlanej przyszłości. Z punktu widzenia organizatorów różnych masówek i akademii były one bardzo potrzebne, jednak słuchacze dziwnie w nich nie gustowali. Po powrocie do domu, kto tylko miał, puszczał sobie adapter z jakąś zdartą, przedwojenną płytą. Dopiero po Październiku nastąpiły czasy dla dusz kameralnych życzliwsze. Zelżało. W różnych gatunkach literackich zelżało w różnym stopniu, w dziedzinie piosenki chyba najbardziej. Było to nadal ciężkie życie z cenzurą, ale życie. Pojawiły się kabarety, a w nich, tu i tam, bardzo uzdolnieni młodzi ludzie, sami chyba własnymi talentami zdumieni, bo wcześniej podejrzawać ich w sobie nie mogli. W krótkim czasie uformowała się mała plejada twórców świetnych, o dorobku trwałym, mimo zmieniających się mód i okoliczności. Czy można było takiego zjawiska nie zauważyć? Oczywiście, publiczność (ta bystrzejsza) zauważyła prędko. Z krytykami literackimi było już trochę gorzej. Owszem, prywatnie klaskali, gratulowali. Nawet pisali – ale zawsze jakoś tak z osobna, raczej felietonowo niż merytorycznie, nigdy nie włączając swoich na ten temat ocen do artykułów o literaturze przez duże „L”. Na ich uwagę mógł

liczyć najmizerniejszy wierszopis, bo był do przeczytania. Ale już nie poeta Przybora, bo był do zaśpiewania. Dobry Boże, ileż to się przez prasę ostatnich dziesięcioleci przetoczyło dyskusji, polemik, sprawozdań, wykładów i bilansów sporządzanych przy każdej okrągłej dacie, gdzie omawiano wszystko, co zauważyć podobno należało. Nikt jednak nawet nie zająknął się o piosence jako o gatunku literackim. Ja w każdym razie nie przypominam sobie takiego ewenementu. A czy ktoś w podręcznikach szkolnych z dawnych lat wspomniał bodaj słóweczkiem o Kabarecie Starszych Panów? Wprawdzie nie wszystkie podręczniki miałam w ręku, ale wątpię... Tymczasem, cóż, literatura to rzeka, która składa się z dopływów. Tylko rzeki pustynne ich czasem nie mają. Ten jednak przypadek chyba naszej literatury nie dotyczy... Na zakończenie jedna pochwała i jedna pretensja do wydawcy. Pochwała – bo wydał książkę bardzo pięknie. Pretensja – bo teksty nie zostały systematycznie zaopatrzone w daty. Czy nie wypadało zadać sobie odrobinę więcej trudu? Przybora to przecież klasyk.

MĘŻCZYŹNI W UBRANIACH

Jerzy Turbasa

ABC MĘSKIEJ ELEGANCJI

Pracownia AA, Kraków 2001



„Kobiety powinny wyglądać ładnie, a mężczyźni dobrze” – pisze autor tej fachowej, a ponadto dowcipnej książki. No tak, tylko co to znaczy „ładnie” i „dobrze”? W modzie damskiej ładne jest to, co lansuje się obecnie, a brzydkie to, co jako ładne było lansowane parę lat temu. W modzie męskiej dobre jest to, co się zmienia dużo wolniej, dyskretniej, bez gwałtownych skoków. Skąd ta różnica? Sądzę, że feministki mogłyby rzecz wyjaśnić. Kreatorzy mody damskiej, niby tacy awangardowi, mają wciąż przed oczami model dwudziestowiecznej, zamożnej mieszczańskiej rodziny. Kobiety oczywiście nie pracują, są na utrzymaniu męża, do dzieci mają służbę, a więc dużo wolnego czasu, a zainteresowań mało. Mogą więc od rana do wieczora zajmować się fatalaszkami, i to właśnie dla nich moda lubi się zmieniać z dnia na dzień. Co innego mężczyzna, bo on pracuje i ma zbyt mało czasu, żeby się zajmować bezustannymi meandrami mody. Jest jeszcze jedna ciekawa różnica. W dzisiejszej modzie damskiej taka przybudówka jak moda młodzieżowa nie istnieje, ponieważ kobieta aż do ostatniego tchnienia powinna wyglądać młodzieżowo. W świecie męskim moda młodzieżowa to dziedzina wyodrębniona, w której dopuszczalna jest wszelka swoboda i dziwaczne pomysły. W pewnym momencie jednak jej panowanie się kończy. Młody mężczyzna po studiach obejmuje posadę, dorabia się stanowisk, tytułów itp. W tych okolicznościach, czy chce tego, czy nie chce, wbija się w garnitur. Garnitur powinien być elegancki, czyli nie rzucać się w oczy. Trudno sobie wyobrazić kierownika zakładu pogrzebowego, który przyjmuje klientów wystrojony *à la* Presley. Nie do pomyslenia jest też prokurator, któremu przy jakimś gwałtowniejszym oskarżycielskim geście rozchyła się toga i widać pod nią bawełnianą koszulkę z napisem „I love you”. *ABC męskiej elegancji* przeznaczone jest dla dwóch grup mężczyzn. Dla takich, którzy bardzo chcą być eleganccy, ale jeszcze niezbyt dobrze wiedzą, na czym to polega. I dla

takich, którzy elegancji przestrzegają od lat, ale zamierzają właśnie sprawić sobie nowy smoking, bo ze starego już w pasie wyrosli. Naturalnie smoking musi być uszyty na miarę. Najlepiej przez takiego mistrza, jak zamieszkały w Krakowie p. Józef Turbasa... Istnieje jeszcze trzecia, liczna grupa męska, którą autor omija z daleka, jako przypadek beznadziejny. Są to panowie abnegaci. Nie dlatego, że biedni, co by było zrozumiałe, i nie dlatego, że pozbawieni ambicji. Przeciwnie, stać ich bez większego uszczerbku na regularne odzieżowe zakupy, tylko że one śmiertelnie ich nudzą. Ambicje też im nie są obce, czasem nawet realizują je z podziwu godnym skutkiem, jednakże nie w kwestii właściwie dobranych krawatów i dobrze zaprasowanych spodni. Patronem tego towarzystwa mógłby być Einstein w porozciągany swetrze. Pasowałby tam Woody Allen, który w swoich filmach paraduje zawsze na mocno wymiętoszonym luzie. A nasz Kuroń? Nie tak dawno zmuszony był kilka razy wystąpić publicznie w marynarce. Starał się nadrabiać miną, ale jego oczy błagały o litość. Wyznam, że zawsze miałam dziwną skłonność do tego rodzaju osobników. Kiedy pewnego razu powiedziałam ukochanemu mężczyźnie, że buty, które nosi, nadają się już tylko do wyrzucenia, zerwał ze mną kontakt wzrokowy, otworzył okno i z melancholią zaczął spoglądać w dal.

KOMINEK

Jarosław Marek Rymkiewicz, Dorota Siwicka,

Alina Witkowska, Marta Zielińska

MICKIEWICZ. ENCYKLOPEDIA

Wydawnictwo Horyzont, Warszawa 2001



Jakoś nigdy do tej pory nie przyszło mi do głowy, że taka Mickiewiczowska encyklopedia jest pilnie potrzebna. Teraz, kiedy już trzymam ją w rękach, nie mogę się nadziwić, jak można było do tej pory nie odczuwać jej braku. Cztery znakomite i kompetentne osoby najwidoczniej jednak ten brak odczuwały. Postanowiły ją napisać, ułożyć – i chwała im za to. Będzie dobrze służyła nie tylko osobom zawodowo tematem zainteresowanym, ale i czytelnikom przygodnym, zaciekawionym także. Księga zawiera kilkaset haseł, bo w życiu tak fascynującej postaci jak Mickiewicz wszystko jest ważne – oprócz twórczości, kolei losu i osób, z którymi miał do czynienia, również i kwestie drobne, na przykład gdzie kolejno mieszkał; co lubił jeść, na co chorował, jakie zwierzęta trzymał w domu. Nie zdziwiłabym się nawet wcale, gdyby znalazło się tu jeszcze jedno, osobno opracowane hasło: „Kominek”. Tak, tak, kominek, który nie tylko służył do ogrzewania mieszkań, ale i do palenia w nim korespondencji, dokumentów, rachunków... Włos się jeży, ile wątków i epizodów z życia poety w takich kominkach przepadło na zawsze. Pierwszeństwo należy się kominkowi przy ulicy Sully nr 1, w ostatnim mieszkaniu Mickiewicza, skąd wyruszył w swoją niepowrotną już podróż do Turcji. Podobno przed wyjazdem przez dwa dni palił jakieś papiery. W zasadzie miał prawo, bo były jego własnością, ale nam wolno ubolewać, że z tego prawa korzystał. Potem przy tymże kominku zaczął urządować syn Władysław. Ten już nie miał prawa spalić ani jednego karteluska, jeśli ów karteluszek miał jakikolwiek związek z ojcem. Ale niestety palił, co tylko uznał za zbędne lub zanedo komplikujące legendę ojca. Niekiedy zanim któryś manuskrypt spalił, robił z niego wypisy. Takie wypisy to z mora wszystkich historyków, nie wiadomo bowiem, co z jakiego kontekstu zostało wyrwane, a co może i dopisane. Już wówczas na temat jego piromaństwa krążyły po Paryżu ponure

wieści. Po wspomnieniach Franciszka Malewskiego i Zofii Szymanowskiej pozostały właśnie tylko takie fragmenty. Podobny przypadek niszczycielstwa reprezentował Odyniec w swoim wileńskim mieszkaniu. Zrobił wypisy z własnych listów, wysyłanych ze wspólnej podróży z Mickiewiczem, do osób postronnych. Po co? Dlaczego? Otóż, *Moi Drodzy*, właśnie po to jest ta książka, żebyście sobie sami znaleźli odpowiedź. Inne kominki były też czynne. Wspomnienia swoje Łucja Rautenstrauchowa spaliła tuż przed śmiercią. Listy Mickiewicza, przechowywane z pietyzmem przez Karolinę Łubieńską, spaliła dopiero po jej śmierci rodzina. Dobrze wiedząc, co czyni. Byli jednak i tacy, którzy niszczyli w nieświadomości tego, co niszczą. Takie papiery, powyciągane z szuflad i schowków, zdegradowane do nazwy szpargałów, wędrowały także do kominków. Na ślady takich smutnych popiołów natrafimy pod hasłem „Listy Mickiewicza”. Czytając, nie zapominajmy też o pogrzebaczu, narzędziu pożytecznym, bo służącym do roztrząsania tych różnych zwojów, kajetów, pakietów, żeby spłonęły szybko i dokładnie.

NUDA I CUDA

Tadeusz Nyczek

ALFABET TEATRU – DLA ANALFABETÓW I ZAAWANSOWANYCH

Wydawnictwo Ezop, Warszawa 2002



Dla analfabetów i zaawansowanych napisał Tadeusz Nyczek swoją mądrą i ucieszną encyklopedyjkę. Zaawansowana nie jestem, już raczej bliżsi mi są analfabeci, ponieważ do teatru ostatnimi czasy chodzę rzadko. Zbyt wiele rzeczy irytuje mnie w nim albo, co gorsze, nudzi. Nie lubię na przykład, kiedy reżyser każe aktorom turlać się po deskach albo chodzić na czworakach. Ma to oznaczać, że postacie wiodą życie przyziemne, wolałabym jednak, gdyby ta konstatacja wynikała z samego tekstu. Nudzi mnie modne obecnie huśtanie się na różnych linach i drabinkach, co z kolei ma uprzytomnić widzom, że w życiu wszystko jest chwiejne. Myślę, że to także z tekstu powinno wyraźnie wynikać. Nie lubię starych dramatów wystawianych na pustej scenie w przekonaniu, że kilka krzeseł i stolik pozbawią sztukę uniwersalnej wymowy. Drażnią mnie współczesne kostiumy w dawno napisanych sztukach, co ma je rzekomo uwspółcześnić i do widza zbliżyć. Tymczasem jeśli Hamlet nie wżruszy nas w pludrach, to i w dżinsach tego nie dokona, ponieważ rzecz nie od krawca zależy. Nie lubię komedii, na których nikt się nie śmieje, a co w dodatku mam uznać jako twórczy wkład reżysera w dzieło. Nie lubię też kobiet biorących się za role męskie, albowiem nie wiem, co ma z tego wynikać. Do przeróbek powieści na scenę żywię uczucia mieszane. Zawsze mi się wydaje, że gdyby autor chciał napisać sztukę, to by ją napisał. Ambicje niektórych reżyserów napawają mnie trwogą. Pragną koniecznie udowodnić, że są mądrzejsi i zdolniejsi niż autor, którego sztukę mają właśnie na warsztacie. I rzeczywiście bywają oni czasem i mądrzejsi, i zdolniejsi, tylko czemu zamiast przeinaczać sztuki cudze i wmawiać im intencje, których tam nie było, nie zaczną tworzyć sztuk własnych. Tak czynił Kantor i to było wielkie. Zostaje jeszcze pytanie, czy w moim malkontenctwie są jakieś wyjątki. Oczywiście, że są, od zasad trzeba czasem ustąpić. Zachwyił mnie na przykład *Opis obyczajów* w opracowaniu Mikołaja Grabowskiego, choć przedstawienie nie powinno

mi się podobać, bo to przeróbka niesceniczej prozy Kitowicza, i w dodatku aktorzy występują w strojach współczesnych. Wiedziałam jednak, po co to zostało zrobione. Poza tym cenię w teatrze wszystko, czego kino nie potrafi. Tylko w teatrze możliwy jest długi, nawet bardzo długi dialog, i ta uważna cisza, jaka mu na sali towarzyszy. Film z reguły źle sobie radzi z długimi dialogami, rozбивa je na krótkie ujęcia. A to już jest co innego. Kolejna różnica: tylko w teatrze aktorowi bije serce, bo jest istotą żywą. Nigdy nie zagra dzisiaj tak samo jak wczoraj i nigdy jutro jak dzisiaj. Film zatrzymuje na taśmie tylko jedną wersję roli, może najlepszą, może nie najlepszą, ale tego nigdy się już nie dowiemy. No i wreszcie: tylko w teatrze zdarza się czasem coś, co z braku bardziej rzeczowych określeń muszę nazwać cudem. Pamiętam *Pastoralkę* Schillera, wystawioną niedługo po wojnie. Z boku sceny stanął w pewnej chwili pastuszek i zaczął grać na skrzypcach. Nic ponadto nie robił, żadnych min, żadnych dodatkowych gestów. Stał i grał z lekko przechyloną głową. A jednak – mimo że na środku sceny rozgrywało się ruchliwe i barwne widowisko – cała sala patrzyła tylko na niego. Z programu dowiedziałam się potem, że był to jakiś nie znany mi dotychczas aktor, Tadeusz Łomnicki.

NOTKA REDAKCYJNA

Lektury nadobowiązkowe drukowane były w „Życiu Literackim”, potem, w latach osiemdziesiątych, w krótko istniejącym miesięczniku „Pismo” i w „Odrze”. Wydawnictwo Literackie wydało pięć wyborów *Lektur nadobowiązkowych*: w 1973, 1981, 1993, 1996 i 1998 roku. Niniejsze wydanie zawiera felietony, które ukazywały się od kwietnia 1997 do czerwca 2002 roku na łamach „Gazety Wyborczej”.